

Piekło kobiet



TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI

Piektło kobiet

OD AUTORA

Oto zbiór felietonów, powstałych między październikiem a grudniem roku 1929. Przeobrażenie pewnych pojęć, uświadomienie sobie pewnych zagadnień, przewyciężenie pewnych wstydlivosti, posunęło się przez ten czas wśród ogółu tak bardzo, że już dziś — po paru zaledwie miesiącach! — niejedno wydać się może w tych artykułach przedawnione; niejedno wyda się „wybijaniem otwartych drzwi”; ale kilka miesięcy temu drzwi te nie były nawet uchylone. Niejedno też, w toku rozwijających się zdarzeń, wypadło mi parę razy powtarzać. Mimo to, niech idą te kartki w świat tak, jak były pisane, na gorąco; a jeżeli książeczka ta przyczyni się do wzniecenia dalszej dyskusji, jeżeli dopomóż do usunięcia pewnych rupieci myślowych i obyczajowych, spełni w zupełności swoje zadanie.

Warszawa, w styczniu 1930

„NAJWIĘKSZA ZBRODNIA PRAWA KARNEGO”

Das grösste Verbrechen des Strafgesetzes — „największą zbrodnią prawa karnego” — nazwał niemiecki uczyony paragraf, obowiązujący dotąd we wszystkich prawie ustawodawstwach, a naznaczający ciężkie kary za przerwanie ciąży. Kary te grożą zarówno matce, jak tym, którzy jej w przerwaniu ciąży pomagają. Równocześnie większość kryminologów stwierdza, że prawo to nie ma żadnego wpływu, że liczba sztucznych poronień wzrasta w ogromny sposób. Życie zawsze było w tej mierze silniejsze od ustaw i od sankcji karnych; tym bardziej okazuje się nim życie nowoczesne w tak zmienionych płynące warunkach. To też — stwierdzają to znowuż wszyscy jednogłośnie — paragraf ów jest martwą literą; okoliczności, w których prawo przychodzi do głosu, są znikomo rzadkie w stosunku do olbrzymiej ilości wypadków spełnianego przestępstwa. Zatem — powiedziałby ktoś — paragraf ten jest obojętny: skoro istnieje na papierze, ale się go nie stosuje, można go uważać za formę niewinnego moralnego protestu przeciw nagannym obyczajom? Niestety, tak nie jest; paragraf ten; nie mający siły, aby coś pomóc, posiada olbrzymią moc, aby szkodzić. Przychodzi do głosu jedynie prawie w wypadkach śmierci matki; wówczas sroży się i sądzi; ale, gdyby wejrzeć bliżej, ujrzałoby się, że najczęściej ta właśnie ustawa jest śmierci przyczyną. Bo ten paragraf, niezdolny zapobiec przerywaniu ciąży tam, gdzie imperatyw życia, mocniejszy niż wszystkie kodeksy, zmusza matkę do niego, ma wszakże na tyle siły, aby tę matkę pozbawić umiejętnej pomocy i pchnąć w ręce karygodnego — tu już naprawdę *kary godnego* — partactwa. Gdyby zestawić wypadki śmierci młodych kobiet, wypadki ciężkich i trwałych schorzeń, które z obecnego bezdusznie podtrzymwanego stanu rzeczy wynikają, zdrzeliłby może ci, którzy w zaciszu wygodnego gabinetu układają swoje ustawy. A gdyby doliczyć inne, pośrednio wynikające z nich skutki: samobójstwa, dzieciobójstwa i inne klęski, wówczas zrozumielibyśmy, z jaką słusnością nazwano ten artykuł „największą zbrodnią prawa karnego”.

A nie jest to bynajmniej głos odosobniony. Przeciwnie, wszyscy, którzy mieli sposobność zetknąć się z tą sprawą, godzą się na jedno: na bezsilność paragrafu i gorzej niż bezsilność, bo jego działanie w sensie ujemnym. Jakimż cudem tedy może on istnieć, może się ostać? Dzieje się to tym¹, że kwestia jest nader skomplikowana i trudna — tak

¹Dzieje się to tym — dzieje się tak dlatego. [przypis edytorski]

że, można by powiedzieć, po prostu „strach ją ruszać”; — że jest splotem mnóstwa rzeczy, że obrosły ją całe warstwy pojęć i przesądów, gromadzących się na przestrzeni wieków. Względy prawne, etyczne, lekarskie, społeczne, mają tu głos: dawne rozróżnienia teologiczne spotykają się z nawykami militaryzmu, obliczającego na dziesiątki lat naprzód ilość bagnetów; niechęć do tknięcia jednej cegielki z budowy, która okazałaby się może zmurszałą, rutyna myśli... A wszystko to pokrywa swoim płaszczem obluda społeczna, przesłaniająca cały kompleks najbardziej żywotnych zjawisk.

Uczynić biedną dziewczynę matką, pozbawić ją pracy dlatego, bo² się spodziewa macierzyństwa, kopnąć ją z pogardą, zrzucić na nią cały ciężar błędu i jego skutków, i zagrozić jej latami więzienia, jeżeli, oszalała rozpaczą, chce się od tego zbyt ciężkiego na jej siły brzemienia uwolnić — oto filozofia praw, które, aż nadto znać, były przez mężczyzn pisane! Głosić wzniosłe teorie o „prawie płodu do życia”, znów grozić matce więzieniem w imię praw tego płodu, ale równocześnie nie troszczyć się o to, aby nosicielka tego płodu miała co do ust włożyć... I rzecz szczególna, ten sam płód, nad którym trzęsą się ustawodawcy, póki jest w łonie matki, w godzinę po urodzeniu traci wszelkie prawa do opieki prawnej, może zginąć pod mostem z zimna, gdy matka — którą jej „święte” macierzyństwo czyni nieraz wyrzutkiem społeczeństwa — nie ma dachu nad głową.

Ale nie trzeba szukać aż tak jaskrawych przykładów. Ileż zmieniło się w świecie od czasu, gdy tworzyły się te pojęcia prawne! Kobieta stała się równowartościowym obywatelem, zajęła miejsce we wszystkich dziedzinach, u wszystkich warsztatów pracy, nieograniczone macierzyństwo nie jest już, nie może być jej ideałem. Zmieniły się warunki życia. Zmienił się i stan medycyny. Przerwanie ciąży stało się faktem potocznym wcale nie tylko w wypadkach wyjątkowych życiowych katastrof; stało się faktem częstym w życiu małżeńskim, praktykuje je niejedna pani sędzina, niejedna pani prokuratorowa... Ba, sam członek Komisji Kodyfikacyjnej, w tym samym dniu, w którym uchwała straszliwe kary za przerwanie ciąży, po posiedzeniu odwiedzi może swoją magnifikę³ w lecznicy, gdzie odbyła z komfortem ten zabieg, aby oszczędzić płodnemu prawodawcy piątego małżeństwa... I pan kodyfikator nie odczuwa żadnej rozterki duszy, żadnej sprzeczności...

Bo co do tych wypadków, to nie ma obawy, aby się dostały pod srogi miecz prawa! I w tym jeszcze ohyda paragrafu. Jak wszystkie paragrafy wspierające się na obludzie społecznej, tak i ten godzi jedynie w biedaków. Jest nieetyczny, bo trafia przypadkowe ofiary pośród dziesiątków tysięcy bezkarnych; jest niedemokratyczny, ponieważ zapewnia przywilej bezkarności tym, którzy i tak są uprzywilejowani.

Toteż postawa społeczeństwa w tej kwestii jest zupełnie zdecydowana. Podczas gdy nasi prawodawcy traktują w swoim projekcie przerwanie ciąży na równi z dzieciobójstwem (!!), społeczeństwo — ubolewając nieraz nad jego koniecznością — absolutnie nie uważa go za występki. Wręcz przeciwnie, mimo frazesów o dostojności macierzyństwa, tysiąc razy łatwiej „przebaczy” społeczeństwo matce przerwanie ciąży niż urodzenie nieślubnego dziecka. „Zastanówmy się — mówił jeden z prawników na ostatnim zjeździe, czy gdyby który z nas wiedział, że jego siostra dopuściła się tego czynu, czy uważałby ją za zbrodniarkę?” — „W takim razie jesteśmy wszyscy przestępcami” — mówił znów na innym zebraniu do swoich kolegów pewien prokurator. Gdyby prawo zechciało działać, trzeba by dla samej Warszawy zbudować więzienie rozmiarów sporego miasta, aby tam co rok pomieścić kilkadziesiąt tysięcy dobrowolnie roniących kobiet. Bo w praktyce społeczeństwo zajęło stanowisko równie zdecydowane: uważa prawo za nieistniejące. Niestety, jak wspominałem, istnieje ono, ale tylko aby szkodzić.

Bo to jedno jest pewne, że jakkolwiekby się ktoś zapatrywał na sprawę przerywania ciąży, nie należy ona do rzędu zagadnień, które załatwia się więzieniem, choćby i dożywnym! Wniknąć w istotę tych stosunków, szukać na nie lekarstwa, oto zadanie prawodawcy. Zagadnienia tego nie można traktować odrębnie i mechanicznie; trzeba je rozważać i leczyć w całym kompleksie zjawisk.

Jesteśmy w fazie tworzenia nowego kodeksu, nasza Komisja Kodyfikacyjna w pierwszym swoim projekcie wypowiedziała się w tej mierze. Jak, o tym pomówimy; niech tu wystarczy stwierdzenie, że zajęła stanowisko bezduszne i formalistyczne.

²dlatego, bo — dziś popr.: dlatego że. [przypis edytorski]

³magnifika (daw., żart., z łac. *magnificus*: dostojny; wspaniały) — małżonka. [przypis edytorski]

I oto w końcu września odbył się w Warszawie zjazd polskich prawników. Jako jeden z głównych punktów w sekcji prawa karnego, której przewodniczył p. Al. Lednicki, postawiono sprawę przerwania ciąży i jej „karalności”. I oto — fakt nieoczekiwany może dla samych uczestników kongresu — prawie wszyscy wypowiedzieli się w duchu wręcz przeciwnym stanowisku Komisji Kodyfikacyjnej, to znaczy przeciw karalności tego czynu. Wielkie wrażenie wywarło przemówienie b. prezesa Sądu Apelacyjnego, p. Czerwińskiego, przeszło siedemdziesięcioletniego starca, który, na podstawie kilku dziesiątków lat swojej praktyki, żądał zupełnego zniesienia złowrogiego paragrafu; nie mniejszą sensacją była opinia prezesa Sądu Najwyższego, p. Mogilnickiego, również za bezkarność. Wniośki Tow. Kryminologicznego, stawiającego zasadę zupełnej niekaralności w pierwszych trzech miesiącach przerwania ciąży, reprezentowali prof. Grzywo-Dąbrowski, adwokat Rundo, dr Battawia i in. Pani Wanda Grabińska, pierwszy sędzia dla nieletnich, podnosiła niemoralność wyodrębnienia tego zjawiska z całokształtu życia społecznego i mechanicznego rozwiązywania go więzieniem. „Ci, co żądają surowych kar za przerwanie ciąży, poniżają kobietę do rzędu samicy ssaka” — wołał adwokat Dwernicki. Najmniej liberalni żądali bodaj bezkarności samej matki i szerokiego uwzględnienia „wskazań społecznych” do przerwania ciąży, tak jak dziś uwzględnia się wskazania lekarskie. Sam referent, prof. Glaser, żądając w zasadzie utrzymania karalności, uznał wskazania prawne (np. gdy ciąża jest owocem zgwałcenia) i socjalne do przerywania ciąży.

W ogóle trzeba zaznaczyć, że uczestnicy zjazdu szli w swoich żądaniach o wiele dalej niż pp. referenci; ta drażliwa kwestia ma to do siebie, że ktokolwiek zabiera w niej głos *oficjalnie*, natychmiast czuje się skrępowany naciskiem obyczajowej obłudy i traci odwagę publicznego bronienia zapatrywań, które nieraz wyznaje prywatnie. Bądź co bądź *Wiadomości II-go zjazdu prawników* notują, że „w dyskusji nad referatem i koreferatem o spędzeniu płodu wypowiedziano się *przeważnie za bezkarność tego czynu z modyfikacjami jego karalności w okresie przejściowym w szczególnie określonych przypadkach*”. (To stwierdził przewodniczący zjazdu, na zebraniu ogólnym dn. 2 października 1929).

Zjazd — taka była przyjęta zasada — nie powziął żadnych uchwał, co mu gani w artykule swoim w „Tygodniu” adwokat Zygmunt Nagórski. Uchwała podjęta przez takie ciało miałaby swoje poważne znaczenie. Ale i tak, same obrady te są równoznaczne z wotum nieufności dla naszej Komisji Kodyfikacyjnej co do tego punktu. I nie tylko u nas spotykamy ten objaw. Kwestia przerwania ciąży i jej karalności jest od dawna przedmiotem dyskusji w wielu krajach Europy. Jedyne u nas było o niej głucho, pomnażała ona liczny poczet kwestii, o których się nie mówi.

A gdzie o niej mówić, jak nie u nas? Gdy gdzie indziej prawa się ulepsza lub konserwuje, u nas się je dziś tworzy.⁴ Jak się je tworzy? Ot, schodzi się kilku poważnych — och, jak poważnych! — panów, którzy, wchodząc do sali obrad, starają się pilnie zapomnieć o tym, że są ludźmi, że tam, za oknami gabinetu, huczy i pędzi życie, że to, co oni piszą na papierze, to jest pisane na ludzkiej skórze, że to, co dla nich jest przedmiotem kontrowersji prawniczej, jest dla innych nieraz kwestią życia i śmierci. I pichcą sobie od niechcenia te prawa, a to co oni upichcą, w tym potem męczą się całe pokolenia. I jeszcze nie skończyli swego dzieła, a już grono najpoważniejszych kolegów — ba, prezes Mogilnicki sam jest członkiem Komisji Kodyfikacyjnej! — krzyczy im: „Przestańcie, bo się źle bawicie!”

Zdaje mi się tedy, że najwyższy jest czas, aby przerwać to zbożne milczenie; aby wydobyć na światło dzienne kwestię tak złożoną, tak trudną, kwestię, w której tyle zawodów ma coś do powiedzenia, w której wreszcie mają chyba prawo głosu ci, a zwłaszcza te, których to prawo dotyczy — kobiety. Postaramy się oświetlić kwestię, zebrać poglądy na nią ludzi co najświetlejszych; postaramy się uświadomić kobiety co do sposobu, w jaki traktują ich najboleśniej sprawy panowie prawodawcy. Poprowadzimy, jeżeli będzie trzeba, przed sąd trzydzieści tysięcy kobiet, które oskarżą się same i powiedzą: „Prosimy, zamknijcie nas do więzienia, ale *wszystkie*!” Niech rzecz dojdzie do absurdu. Bo można niedorzeczne prawa jakiś czas cierpieć przez szacunek dla ich dawności, ale nie ma chyba racji od niedorzecznych praw zaczynać?

⁴*Gdy gdzie indziej prawa się ulepsza lub konserwuje, u nas się je dziś tworzy.* — po odzyskaniu państwowości przez Polskę w 1918 r. [przypis edytorski]

Prawnik

Prawo, Sprawiedliwość

ARGUMENTY

W poprzednim felietonie ośmieliłem się postawić kwestię, która bodaj nigdy dotąd publicznie w naszej prasie nie była poruszana. Trzeba teraz omówić ją bliżej. Z góry przepraszam, że przyjdzie mi się powtarzać; ale rzecz tak obrosła obłudą i zabobonem, że trzeba ją gruntownie oskrobać. Przepraszam także, że nie będę zabawny, ale nie zawsze można być zabawnym; odbijemy to sobie innym razem.

Dodam jeszcze, iż, jeżeli zdecydowałem się wszcząć tę kwestię, nie uczyniłem tego lekkomyślnie; pytałem wprawdzie wielu poważnych osób, prawników i innych, aż do samych członków Komisji Kodyfikacyjnej, czy uważają wytoczenie jej na forum publiczne za właściwe. Odpowiedzieli mi: „Bezwarunkowo. Nie tylko za właściwe, ale za bardzo pożądane”.

W istocie, trzeba uświadomić sobie sytuację; wysłuchać zdań; policzyć i zważyć głosy. Kodyfikatorzy nie chcą — sami to mówią — *wyprzedzać opinii*, a opinia dotąd milczała. Ogół nie zdaje sobie sprawy ze stanu i powagi kwestii. Kiedy przejdziemy do szczegółowej ankiety, zdumienie wywoła, jak jednogłośnie luminarze prawa oświadczają się przeciw paragrafom „karalności”. Tylko nie trzeba tego fałszywie rozumieć. Przeciwnicy karalności uważają, tak samo jak inni, przerywanie ciąży za smutną ostateczność; ale sądzą, że nie na drodze sankcji karnych należy przeciwdziałać temu zjawisku, że kodeks karny nie ma tu nic do gadania i że mieszając się do sprawy, która przechodzi jego siły — szkodzi zamiast pomagać. Pragnę tedy zestawić argumenty, na jakich opierają się przeciwnicy obecnego stanu rzeczy, to znaczy przeciwnicy represji karnych; przy czym należy zaznaczyć, że gdy jedni — większość prawników — są po prostu za zniesieniem paragrafu, drudzy są za jego ograniczeniem przez dopuszczenie licznych wyjątków.

Ci, co są za *niekaralności*, wytaczają następujące argumenty:

Paragraf naznaczający ciężkie kary za przerwanie ciąży jest martwy. Na setki tysięcy razy, ledwie w kilku lub kilkunastu wypadkach prawo przychodzi do głosu. I wówczas udowodnienie winy jest niezmiernie trudne, najczęściej prawo nie działa. Otóż ustawa, która jest bezsilna, która nie jest wykonywana, jest demoralizująca, uczy lekceważenia prawa, jest jego zaprzeczeniem.

Czemu ustawa nie jest wykonywana? Przede wszystkim olbrzymia większość wypadków jest nieznaną. Następnie dlatego, że przestępstwo jest zbyt częste. W Niemczech np. obliczają roczną ilość przerwanych ciąży na 800.000 — inni mówią *milion*, któż to policzy! — a wszelkie statystyki mogą tu być tylko przybliżone i niższe są pewno od rzeczywistości. Jak może prawo działać w tych warunkach?

Ustawa nie może działać i dlatego, że nie ma za sobą moralnego poparcia społeczeństwa, bez którego paragraf będzie zawsze martwą literą.

Sędzia, który ma ustawę wykonywać, wie, że społeczeństwo nie jest tu w porządku. Nie istnieje opieka nad matką ani opieka nad dzieckiem; położenie niedosłej matki było często bez wyjścia. Kodeks cywilny nie jest na wysokości zadania, nie uregulował kwestii dochodzenia ojcostwa ani alimentacji. Jak można ścigać jedynie matkę, która i tak ponosi wszystkie ciężary? Czy jest wreszcie sędzia, który by nie miał w najbliższej rodzinie, w najbliższym otoczeniu, wypadków przerywania ciąży, które uważa za zupełnie naturalne, w których może współdziałał? Jak więc — o ile nie jest okrutnym obłudnikiem — ma karać jakąś nieszczęśliwą, godniejszą jeszcze usprawiedliwienia? Czemu ma ścigać jedną, gdy nie ściga tysięcy innych? Sędziowie nie chcą karać, prokuratorzy nie chcą oskarżać, lekarze nie chcą denuncjować: bo i to im prawo nakazuje!

Ale, powiadają przeciwnicy karalności, gdyby nawet „miecz prawa” działał, nic by to nie pomogło. Kobieta, która chce przerwać ciążę, znajduje się zwykle w położeniu przymusowym, szansa ukrycia czynu jest bardzo znaczna; zawsze tedy przeważa obawa większego zła, jakim jest dla niej ujawnienie ciąży i urodzenie dziecka. Prawo jest bezsilne.

I oto najgorsze! Prawo jest bezsilne; nie może niczemu zapobiec; ale istnieniem swoim wyrządza wiele złego, nie jest obojętne. Bo, piętnując zabieg przerywania ciąży jako zbrodnię, wzbrania go lekarzom, którzy z kodeksem się liczą, ale nie przeszkadza go uprawiać wszelkiego rodzaju partaczom, a wreszcie i samym matkom nie przeszkadza doświadczając na sobie „domowych” środków. Nie przerwie lekarz ciąży (poza wskazania-

mi ściśle lekarskimi) ani w szpitalu, ani w kasie chorych. Zatem, podczas gdy bogaci znajdują w takim wypadku pomoc lekarską, ubodzy są jej pozbawieni. Ileż z tego powodu wypadków śmierci, ileż ciężkich schorzeń? Prof. Grzywo-Dąbrowski oblicza ilość sekcji, które wykonywa⁵ na zwłokach matek zmarłych w Warszawie na zakażenie krwi z tego powodu, na dwieście rocznie, a to jest z pewnością tylko cząstka. Otóż wszystkie niemal te matki *zabija* można powiedzieć *paragraf*, broniący im pomocy lekarskiej, a niezdolny wzbronić im samego czynu.

Bo zważmy tu jeszcze jedno. W dawnych czasach, kiedy pisano ustawy prawomocne dotąd, stan medycyny był inny niż dziś. Nie znano ani aseptyki, ani nowoczesnej chirurgii. Między przerwaniem ciąży dokonanym prawidłowo i umiejętnie, a zabiegiem spartaczonym nie było takiej jak dziś różnicy. Istnieje mało znana nowela Balzaka pod tytułem *Poronienie*, poruszająca ten temat. Lekarz, którego kobieta błaga, aby jej przerwał ciążę, odpowiada:

„Namawia mnie pani do zbrodni, którą prawo karze śmiercią, a panią samą skazano by na karę straszliwszą może niż moja... Ale gdyby prawo nie było tak srogie, i tak nie podjąłbym się podobnej operacji: jest ona prawie zawsze podwójnym morderstwem, bo rzadkie jest, aby matka nie zginęła także. Może pani obrąć lepszą drogę... Czemu by pani nie miała uciec?... Niech pani jedzie za granicę. — Byłabym zhańbiona...”

Balzac w owej epoce widział jedynie dramaty wyższych sfer społecznych. Dziś tym trudniej byłoby poradzić wszystkim tym nieszczęśliwym kobietom, aby... „wyjechały za granicę”. Ale także dziś między sztuką lekarską a partactwem jest w tej mierze przepaść. A jeżeli są lekarze, którzy, nawet przy najbardziej umiejętnym wykonaniu, uważają za bieżący ten za nie obojętny dla zdrowia, a nawet niebezpieczny, o ileż bardziej staje się nim w rękach niepowołanych! I właśnie w te niepowołane ręce pcha dziesiątki i setki tysięcy kobiet bezduszny paragraf.

Przeciwnicy karalności opierają się wreszcie na tym, że płód nie może być uważany za samodzielny organizm, ale za część *matki*, i że siłą rzeczy ona nim rozporządza. Nie może tu być mowy o zabójstwie. Płód nie jest, przynajmniej w pierwszych miesiącach samoistnym życiem (sam Kościół czynił rozróżnienia między *foetus animatus* a *inanimatus*), dlatego też część zwolenników niekaralności pragnie ją ograniczyć do pierwszych trzech miesięcy.

„Nie jest dzieciobójczynią ta, która sprowadza poronienie, zanim dusza wstąpi w ciało” (*Non est homicida, qui abortum procurat, antequam anima corpori sit infusa*), powiada św. Augustyn.

A teraz ważny wzgląd, wygrywany niejednokrotnie; kwestia przyrostu ludności, tzw. polityka populacyjna. Argument efektowny na pozór, ale złudny. Znała go już starożytność, ale, wedle potrzeb tej polityki, zabraniała, tolerowała, lub nakazywała przerywanie ciąży. Podłożem tego argumentu dziś jest powszechny militarizm. Ale przyszła wojna, do której wszyscy mają nadzieję nie dopuścić, i tak nie tyle polegałaby na ilości ludzi, ile na wynalazkach, na środkach technicznych, chemii etc. Przy ogólnej tendencji do przyszłego rozbrojenia, czyż nie można by i w zakresie nadprodukcji ludzi uznać wspólnej „demobilizacji”?

A teraz, czy istnieje związek między przyrostem ludności a przerywaniem ciąży? Wcale to nie jest udowodnione. W krajach, gdzie przerywanie ciąży jest najbardziej rozpowszechnione (Ameryka), przyrost ludności jest mimo to olbrzymi (prof. Glaser: *Kilka uwag o spędzaniu płodu*). Następnie: skoro prawo nie ma żadnego skutku, skoro nie działa, skoro wszyscy stwierdzają jego bezsilność, jak może ono wpływać tak czy owak na przyrost? A choćby nawet ciemnota lub apatia skłoniły, dajmy na to, biedną służącą lub wyrobnicę do urodzenia nieślubnego dziecka, co się z tym dzieckiem stanie? Statystyka dzieciobójstwa w tych warstwach daje na to straszliwą odpowiedź. Tym dzieciobójstwom też winien jest ten sam paragraf. A dziecko, które ujdzie tego losu? Pójdzie do „fabrykantki aniołków”, pójdzie „na garnuszek”, gdzie przeważnie zginie. A te, co nie wyginęły,

⁵wykonywa — dziś: wykonuje. [przypis edytorski]

chowane w ryszotku, powiększą element szumowin społecznych, pomnożą statystykę zbrodni. To co do dzieci nieślubnych, bez ojca.

A ślubne? Czytaliśmy niedawno w felietonie Widza przerażającą statystykę mieszkań robotniczych. Czy przy gnieźdzeniu się rodzin — czasem paru — w jednej izbie lub kącie, może być mowa o nieograniczonym rozradzaniu się? A gdyby nawet się rodziły, czy ten nadmiar dzieci wyżyje? I co jest lepsze: czy rodzina, w której rodzi się, dajmy na to, siedmioro dzieci chowanych w głodzie i zaduchu, z których kilkoro umrze, a reszta będzie nędzna i chorowita, czy ograniczona ilość urodzin a zdrowe wychowanie tych, które przyjdą na świat? Cóż za olbrzymie trwonienie energii, to nieograniczone rodzenie jedynie dla śmierci! Wszak z punktu widzenia populacji nie ilość dzieci urodzonych rozstrzyga, ale ilość dzieci odchowanych i to zdrowo odchowanych. To łączy się z niezmiernie doniosłą sprawą „regulacji urodzeń”, do której wrócimy.

A wreszcie, gdy mowa o polityce populacyjnej, inną ona wszak będzie w krajach mających niedobór ludności, a tych, które nie wiedzą, co począć ze swoim nadmiarem. U nas stale ten nadmiar ludzi odpływa przez emigrację. I jakich: najtęższy, najbardziej rzutki i wartościowy materiał. Więc tracić przez emigrację tęgi materiał ludzki, a zastępować go dziećmi nędzy i choroby, to ma być polityka populacyjna? Słusznie też powiada niemiecki uczonek: „Prawo nie może chronić korzyści, o której zgoła nie wiadomo, czy istnieje”, i nie rzeczą kodeksu karnego robić wątpliwą politykę populacyjną.

A wreszcie, czyż ta ilość matek, które kosi lub wpędza w ciężkie choroby zakażenie krwi, czy to nie jest czynnik depopulacyjny?

Wreszcie nie najmniej ważki argument przeciwników karalności, to szczęście obywateli, które wszak jest celem państwa, a które ustawa ta jakże często niweczy dla rzekomych korzyści społecznych. Krzywdy i niedole są tu faktyczne i namacalne — korzyści urojone.

Bo jakież są kontrargumenty? Pomówimy jeszcze o nich. Prawie ich nie ma, a przynajmniej nie takie, które by mogły przekonać. Mówi się o mętnej polityce populacyjnej, o rozluźnieniu moralności etc. Ale czy te problematyczne dedukcje przeważą wymowę trupów, które wyrzuca co rok stan obecny, nieszczęść i schorzeń, które się kryją w cieniu? Czy którykolwiek z ustawodawców ma złudzenie, że ten paragraf zacznie działać? Ani trochę; chcą tylko, aby był, po staremu, dla formy, na papierze.

Dość wreszcie znamienity jest artykuł pewnego pisemka w odpowiedzi na mój poprzedni felieton, gdzie podałem wnioski zjazdu prawników. Czy wiecie, jak tam wytłumaczono stanowisko zajęte przez olbrzymią większość naszych prawników? To *masoni*, którym solą w oku jest przyrost naszej ludności i przewaga, jaką ma przez to Polska nad innymi krajami! Skoro wychodzi na plac słowo „masoni”, można być pewnym, że bezmyślność i głupota są za węglem.

Streszczając całą rzecz, przeciwnicy karalności rozumują tak: skoro prawo karne jest bezsilne, skoro nie umie pomóc, a umie szkodzić, nie powinno się w to mieszać. Zostawić sprawę matkom, licząc na ich instynkt macierzyński. Mało która matka przerwie ciążę bez ważnych pobudek. Starać się stworzyć na drodze ustawodawstwa cywilnego i opieki społecznej takie warunki, aby przerywać ciąży nie potrzebowała. Rozszerzyć bodaj prawo do przerywania ciąży na tzw. wskazania społeczne. Uświadamić ewentualnie co do sposobów zapobiegania niepożądaney ciąży, ale to osobny, jakże doniosły temat! I — wciąż to trzeba powtarzać — o ile się nie może pomóc, *nie szkodzić*. Medycyna ma swoje godło, które wypisane jest w salach klinicznych: *primum non nocere*, przede wszystkim nie szkodzić. Czyż ta sama zasada nie powinna by obowiązywać i w prawie? — tak mówił w rozmowie ze mną o tej kwestii wybitny prawnik.

W JASKINI LWÓW

Omówiwszy istotę kwestii oraz streściwszy argumenty tych, którzy domagają się zmiany obecnego stanu ustaw w traktowaniu przerywania ciąży, mamy obecnie przedstawić stanowisko naszej Komisji Kodyfikacyjnej, przygotowującej projekt kodeksu karnego. Mam w rękę materiał drukowany oraz informację, których mi łaskawie udzielili w ustnej rozmowie członkowie Komisji, b. prezes Najwyższego Sądu Mogilnicki, prof. Makowski i prof. Rappaport. Z tego materiału, zwłaszcza oświetlonego ustnym komentarzem,

Emigrant

Zabobony, Głupota

można sobie wytworzyć pojęcie o ewolucji, jaką kwestia ta przechodziła w łonie Komisji Kodyfikacyjnej. Oby płód, jaki niebawem wyda to szacowne łono, nie był poroniony...

Bo, gdyby sądzić jedynie z materiału dostępnego w druku, wrażenie prac Komisji w tym przedmiocie byłoby niezmiernie przykre. Zważmy tylko. Polska znajduje się obecnie pod względem kodyfikacji w specjalnym położeniu. Zwykle prawa się dziedziczy z dobrodziejstwem inwentarza, prawa zaś odziedziczone mają twarde życie, nie łatwo jest usuwać je i zmieniać, zwłaszcza gdy taka zmiana łączy się z naruszeniem jakichś obyczajowych zabobonów. Toteż pokolenia całe żyją nieraz pod uciskiem prawa będącego tragicznym anachronizmem.

W Polsce inaczej. Ma ona sobie stworzyć swój nowy kodeks, nie obciążony balastem przeszłości, bo wszakże obowiązujące dotąd u nas kodeksy b. państw zaborczych nie mogły w nikim budzić szczególnych sentymentów. Jesteśmy w tym wyjątkowym położeniu, że możemy sobie z całą świadomością sporządzić prawa na swoją miarę, dla swoich istotnych i współczesnych potrzeb, będących w harmonii zarówno z pojęciami obywateli, jak z dobrem państwa. Wszystkie przeżytki, wszystkie nieużytki możemy cisnąć za płot. Czy Komisja Kodyfikacyjna zdawała sobie sprawę z tej swojej roli?

Gdyby wnioskować z przebiegu jej posiedzeń w roku 1920 — odnośnie do tego punktu — można by myśleć, że nie bardzo. Sprawa przerwania ciąży i kar na nią! Sprawa, jak widzieliśmy, tak złożona, tak paląca, tak bolesna, dokoła której skupiło się tyle zabobonów, tyle fałszu, tyle okrucieństwa, tyle nierówności, tyle frazesów! Kwestia, w której spotykają się dziedziny lekarza, społecznika, prawnika, moralisty; kwestia, co do której, w ostatnich czasach zwłaszcza, wyłoniło się tyle sprzecznych zdań, dokoła której rozgorzało wszędzie tyle namiętnych sporów. Punkt stanowiący unikat w kodeksie; kwestia, w której poważni prawnicy, światli lekarze zarzucają kodeksowi wręcz, że jego paragraf jest szkodnikiem, że działa morderczo; w której padło ciężkie słowo, określające paragraf ten jako „największą zbrodnię prawa karnego”.

Mamy tedy prawo zapytać się, czy znajdujemy oddźwięk tego wszystkiego w pracach Komisji; czy zdawała ona sobie sprawę, do jak trudnego i odpowiedzialnego przystępuje zadania, decydując o tych artykułach?

Ani trochę! Kiedy się czyta protokół obrad Komisji, zdawać by się mogło, że idzie tu o rzecz dość błahą, a przede wszystkim jasną i prostą, gdzie sama istota jest przesądzona, a chodzi jedynie o sformułowanie szczegółów, o precyzję łacińskiej nomenklatury i o odmierzenie lekką ręką dawek ciężkiego więzienia; poza tym, doprawdy, nie ma o czym mówić! Czytamy dość molierowskie rozróżnienia czy *nasciturus pro nato habetur*, czy płód, dopiero poczęty w żywocie matki, jest „dobrem”, którego chronienie etc. Widzimy wreszcie takie kwiatki, jak np.: „P. Krzymuski oświadcza się za karalnością matki ze względu na politykę populacyjną!!” Krótko, jasno i po ludzku. Ale czy nieboszczyk Krzymuski, panie świeć nad jego duszą, zastanowił się, jak się odbija w życiu taki bezmyślny frazes, ilu trupów i nieszczęść, ilu samobójstw i dzieciobójstw stanie się przyczyną „polityka populacyjna” pana Krzymuskiego?

I tak sobie wszystko załatwili; kilku panów w sile wieku rozstrzygnęło o losach milionów kobiet i poszli, zadowoleni z siebie, na kolację. Ani słowa o tym, co najistotniejsze, o prawach życia, które urąga w żywe oczy tym artykułom kodeksu, o bezmiarze niedoli, które z niego płyną, o tym, że paragraf ten popiera zbrodnicze partactwo, które rzekomo ma tępić, o tym, że paragraf ten szkodzi zamiast pomagać, że znaczy się co rok tysiącami śmiertelnych wypadków! Nie pytano się lekarzy, nie pytano społeczników, nie pytano kobiet... Załatwiono od ręki.

Na obronę ówczesnych panów kodyfikatorów można by przytoczyć jako *okoliczność łagodzącą* (niechże i oni raz korzystają z „okoliczności łagodzących”) nawał pracy, jaki się na nich zwałił z obowiązkiem sformowania całego kodeksu, oraz atmosfera owego roku 1920, w którym istotnie ziemia paliła się pod stopami i nawet tak doniosła kwestia jak ta oto mogła nie przedstawiać się w całej ważności.

Wrócili do niej w dziewięć lat potem. Znow od niechcenia, jak do czegoś, co w zasadzie jest załatwione, co odziedziczyli w spadku. I powstały artykuły, zamieszczone w „Projekcie części szczegółowej kodeksu karnego” (1929). „Kobieta, która swój płód spędza lub pozwala na spędzenie przez inną osobę, ulega karze więzienia do lat 5...” (Art. 141).

„Kto za zgodą kobiety ciężarnej płód jej spędza lub jej przy tym udziela pomocy, ulega karze więzienia do lat 5”. (Art. 142, § 1).

„Jeżeli sprawca spędzenia uprawia spędzanie płodu zawodowo, albo jeżeli ze spędzenia płodu wynikła śmierć kobiety ciężarnej, ulega karze więzienia do lat 15...” (Art. 142, § 3).

Ten sam członek Komisji Kodyfikacyjnej (ot, takie sobie przypuszczenie!), który dla swojej przyjaciółeczki wezwalby, w razie przykrego wypadczku, najlepszego specjalistę w tym zakresie (tym samym uprawiającego swoją specjalność zawodowo); który ściskałby dłonie operatorowi, dziękując za pomyślną operację, kropi mu z lekkim sercem 15 lat więzienia! Ale ani mu się śni o tym, aby te jego artykuły miały być wykonane; słowa zatraciły tutaj wszelki realny sens.

Tak sobie uchwalili w roku 1929. To jest wszystko, co mieli w tej sprawie do powiedzenia. Porozdzielali lata kryminału: tej tyle, temu tyle, temu znów tyle — liczna zabawa. Jakie to proste być prawodawcą! A tymczasem dokoła tej kwestii wrzały już dyskusje, ujawniające jej bolesną złożoność i jej trudności. Debatowało nad tym Warszawskie Towarzystwo Ginekologiczne; daleko idące wnioski sformułowało Towarzystwo Kryminologiczne; prof. Glaser wydał swoją broszurę, w której wprawdzie nie chciał wyciągnąć jasných wniosków ze swoich przesłanek, ale gdzie bądź co bądź zestawil wszystkie druzgocące argumenty przeciw karalności. Wszędzie wylania się kwestia co najmniej „wskazań społecznych” do przerwania ciąży, które domagają się w kodeksie takiego samego miejsca, jakie paragraf „o prawie wyższej konieczności” przyznaje wskazaniom lekarskim. Już po ogłoszeniu projektu Komisji Kodyfikacyjnej, prof. Grzywo-Dąbrowski w uwagach swoich nad tym projektem pisze wręcz, że „zdaniem naszym, należałoby się zdecydować znieść karalność przerwania ciąży”. Wreszcie wrześnieowy Zjazd prawników ogromną większością oświadcza się w duchu niekaralności, wyrażając tym samym dotkliwą krytykę projektu Komisji Kodyfikacyjnej.

Projekt ten nie jest co prawda projektem ostatecznym. Jest to dopiero „pierwsze czytanie”. Rzecz jest dalej przedmiotem dyskusji. Krytyka, z jaką spotykają się ich artykuły, wdzierają się w zacisze gabinetu prawodawców. I w samym łonie Komisji Kodyfikacyjnej są rysy. Piękna jej jednomyślność jest pozorem, za którym kryją się krańcowe rozbieżności. Niejeden członek Komisji zajmuje dziś w tej sprawie zgoła odmienne stanowisko niż przed kilku laty. Kwestia dojrzewa wreszcie do tego, aby ją zrozumiano. Komisja uświadamia sobie, że rzecz nie jest tak prosta, że więzienie nie goi wszystkich ran społecznych, nie załatwia wszystkich powikłań życia...

Mówię wyraźnie, że *Komisja* uświadamia sobie... Komisja jako ciało. Bo jej członkowie tego uświadomienia chyba nie potrzebowali. Byłoby nie do pomyślenia, aby rzecz, na którą ma jasny pogląd każdy prawnik, była obcą jedynie tym, których, spośród najświatlejszych, powołano do tworzenia praw. Nie, tak nie można przypuszczać. Każdy z nich, *jako człowiek prywatny*, wie, co o tym myśleć, wie że paragraf, który wprowadza, jest zarazem i bezsilny, i morderczy; ale *jako kodyfikator* zamyka oczy na to, co wie jako człowiek prywatny, staje się przedstawicielem obłudy i małoduszności społeczeństwa. Jeden z wybitnych adwokatów mówił mi wręcz: „Jako człowiek, jako prawnik i jako obywatel, jestem przeciw karalności, ale gdybym był prawodawcą, głosowałbym za utrzymaniem kary. Opinia nie dojrzała do tego liberalizmu. Toleruje i praktykuje czyn, ale nie chce sankcjonować go ustawą”. Tak więc opinia oddziaływała na prawodawcę, prawodawca podtrzymuje opinię: *Qui trompe-t-on?*⁶, jak pyta Bazylio w *Cyruliku sewilskim*. A życie idzie swoim trybem. Podobnie oświadczył mi jeden z członków Komisji Kodyfikacyjnej: „Nie jest naszą rolą wyprzedzać opinię, a opinia się w tej mierze nie wypowiedziała”; mówił, zachęcając mnie do przeprowadzenia dyskusji na ten temat w prasie. I tym się dzieje⁷, że ci światli i uczciwi ludzie głosują za utrzymaniem paragrafu, co do którego wiedzą, że jest bezsilny z jednej strony, a morderczy z drugiej. Dalej hołdu obłudzie posunąć chyba nie można!

A jednak przesłała się i tam coś w ostatnim czasie. Dzięki uprzejmości pana generalnego sekretarza Komisji Kodyfikacyjnej wtajemniczony jestem w ostatnie fazy obrad, których jeszcze nie ujawniono. Tyle można powiedzieć, że dziś większość Komisji uważa

⁶*Qui trompe-t-on?* (fr.) — kogo się oszukuje? (a.: kogo oszukujemy?). [przypis edytorski]

⁷*tym się dzieje* — dlatego dzieje się tak. [przypis edytorski]

artykuły sformułowane przez siebie w roku 1929 (!) za *przestarzałe* (tak szybko biegnie dziś życie!) i nie dające się utrzymać w tej postaci. Uchwały Komisji zapadają jednomyślnie (tylko co do karalności matki zaznaczony jest sprzeciw mniejszości), a oto jeden z jej członków oświadczył się wręcz na zjeździe prawników za absolutną *niekaralnością*, za skreśleniem po prostu tego paragrafu. Jak to pogodzić?

Członkowie Komisji rządzą się bez wątpienia i pewnym praktycznym oportunizmem. Ustawa tak liberalna, tak rewolucyjna, jak zupełne skasowanie paragrafu, nie ma widoków jednomyślności, nie ma (mówią) widoków, aby przeszła w sejmie. Zdaje się, że paraliżuje także Komisję Kodyfikacyjną oglądanie się na „Europę”; żadne państwo (powiadają) nie zniosło kar za przerwanie ciąży, Polska nie może być pierwsza... Na to można by odpowiedzieć, że przede wszystkim inne państwa są w innym od nas położeniu: trudniej jest jakiś przestarzały paragraf usunąć, niż go po prostu nie wprowadzać. Można by dalej uspokoić naszych prawodawców, że tego rodzaju liberalizmem Polska wyprzedzała Europę nieraz; „kompromitacja” nie byłaby pierwsza: wszak Polska nie paliła czarownic, nie znała Inkwizycji, nie prześladowała innowierców... Polska pierwsza przyznała kobietom pełne prawa obywatelskie i wyborcze. Świadczyłyby to co najwyżej wobec Europy, że w Polsce uznano poniżej godności kobiety tego rodzaju represje; że u nas nie potrzeba kobiet zmuszać groźbą więzienia do tego, by spełniały zadania macierzyństwa; że wreszcie uznano za najważniejsze, aby same stanowiły o tym, czy i kiedy zadania te mogą spełniać. To zresztą, że paragraf ten będzie prędzej czy później wszędzie zniesiony, to jest tak samo pewne, jak to, że zniesiono tortury, niewolnictwo etc., wyprzedzić w tym Europę byłoby raczej zaszczytne dla Polski i godne stanowiska, jakie od chwili jej odbudowy zajęły w niej kobiety. Czyż zresztą takie względy „etykiety” i pierwszeństwa mogą odgrywać rolę, gdy chodzi o bezmiar ludzkiego nieszczęścia?

Bądź co bądź, jednolity — z pozoru przynajmniej — pierwotnie front Komisji Kodyfikacyjnej załamuje się. Tak jak dziś sprawa stoi, chcieliby kodyfikatory utrzymać karę — w zasadzie — ale czyniąc w niej klauzule i wyjątki, aby o ile możliwości złagodzić lub usunąć szkody płynące z tego paragrafu, który prześladowuje jedynie ubogich, który pochłania tysiące ofiar, odbierając im możliwość pomocy lekarskiej. Jak to uczynić, to kwestia kazuistyki prawniczej. Kręcą też nasi prawodawcy skłopotanymi główkami, może co i wykręcą. Próbuja przywołać na pomoc część ogólną kodeksu i jej artykuł o „prawie wyższej konieczności”, mimo że strasznie trzeba by go naciągać w obecnym brzmieniu („nie ulega karze, kto działa dla uchylenia *bezpośredniego* niebezpieczeństwa, grożącego dobru własnemu lub cudzemu, o ile niebezpieczeństwa nie może inaczej uniknąć”). To wąskie ucho igielne chcieliby rozszerzyć, tak aby mogły się przez nie przecisnąć tzw. „wskazania społeczne” przerwania ciąży. Przeszkadza w tym to słówko „*bezpośrednie*” które trzeba by chyba wyrzucić... Dodajmy, że to zapewnienie warunkowe, że „nie ulega karze, kto” etc. nie uśmiecha się lekarzom i że ci nie okazują zbytnej ochoty, aby podjąć brzemię obłudy społecznej, które chcieliby na nich przerzucić pp. prawnicy. Ale o lekarzach i ich stanowisku pomówimy następnym razem.

Na ogół rysują się w Komisji Kodyfikacyjnej (o ile jestem w jej sekrety wtajemniczony), trzy tendencje. Jedna nieprzejednana: karać, więzić, straszyć. To stanowisko nie ma za sobą nawet aksjomatu *pereat mundus fiat justitia*, bo ta *justitia* jest doprawdy bardzo spod ciemnej gwiazdy. Tutaj odgrywa niemałą rolę „polityka populacyjna” kleru: lepiej czworo dzieci ochrzcić i tych samych czworo dzieci rychło potem pochować, niż żeby żadne z nich się nie urodziło. To jest też polityka populacyjna... Ale to jest raczej „obrót” niż dochód...

Naprzeciw — drugi radykalny punkt widzenia: zupełna niekaralność. To stanowisko reprezentuje w Komisji znikoma mniejszość; poza Komisją zaś olbrzymia większość najtęższych prawników. Na razie, jest to muzyka przyszłości. Bardziej kompromisową, tym samym więcej szans mającą, jest *niekaralność matki*, a karalność pomocników, mimo że taka różnica w traktowaniu jednego i tego samego czynu ma swoje poważne strony ujemne, do których jeszcze wrócimy. Bądź co bądź zdaje się pewne, że Komisja Kodyfikacyjna wycofuje się z karania matki. Zawsze to krok naprzód.

Trzeci pogląd kompromisowy, to *niekaralność matki* i *niekaralność lekarza*; przy czym ocena wskazań — w najszerszym pojęciu — do przerwania ciąży byłaby zadaniem le-

karza, rękojmnią zaś byłaby po prostu jego ogólna przysięga lekarska. Mógłby więc ten lekarz rozstrzygać o wskazaniach zarówno lekarskich, jak społecznych i tzw. „eugenicznych”⁸. Wówczas można by szerzej stosować przerwanie ciąży w razie życiowej konieczności w szpitalach i kasach chorych. Karalność tyczyłaby tylko partactwa, które i tak podpada pod inne paragrafy karzące partactwo lekarskie i nieuprawnioną fuszerkę. To by już było bardzo daleko idące posunięcie; chodzi tylko o to, jak patrzyliby lekarze na przrzucenie na ich barki tak szerokich atrybucji?

W każdym razie widzimy, że coś tam w Komisji Kodyfikacyjnej świta, że członkowie jej zrozumieli nareszcie, nie tylko jako ludzie (i może jako klienci?), ale *jako prawodawcy*, że rzecz jest trudna, ważna, i że zbyć jej kopiowaniem przestarzałych paragrafów nie wolno. Nie chce im przejść przez gardło skasowanie szkodliwego artykułu, ale chcą stworzyć stosunki, w których karalność pozostałaby fikcją, jaką jest ostatecznie i dziś, ale fikcją mniej morderczą. Jak z tego wybrną, dowiemy się; niebawem ma być projekt ustalony w ostatnim czytaniu. Czy te wszystkie kompromisowe kombinacje okażą się wykonalne, czy nie, to życie rozstrzygnie. To pewna, że można to wszystko uważać tylko za stan przejściowy, za przygotowanie opinii społecznej; że, prędzej czy później, musi przyjść do skreślenia tego paragrafu, to, powtarzam, nie ulega wątpliwości. Na razie, nie mają nasi kodyfikatorzy odwagi tego zrobić, a szkoda: łatwiej niedorzecznego prawa nie wprowadzać, niż je potem usuwać. A już zaczynać, wbrew swemu ludzkiemu przekonaniu, od tworzenia praw nie tylko niedorzecznych, ale niewykonalnych i szkodliwych, byłoby naprawdę pokłonem oddanym obłudzie zbyt głębokim i niegodnym naszych świątłych prawodawców.

PARAGRAF A LANCET

Skoro już zdecydowałem się poruszyć ten drażliwy temat, trzeba go oświetlić ze wszystkich stron, aby dać miarę trudności całej kwestii. Przejdźmy z kolei od prawników do lekarzy. Uderzyć może jedno; mianowicie, że na ogół lekarze są tu mniej liberalni od prawników. Na razie mogłoby to zdziwić: jak to, oni, którzy bardziej niż ktokolwiek znają bezmiar niedoli kobiecej? A jednak tak; faktem jest, że do tego zagadnienia społecznego, jakim jest niewątpliwie objaw masowego przerywania ciąży, lekarze odnoszą się niechętnie.

Składa się na to szereg przyczyn. Po pierwsze, nie są, jak prawnicy, z zawodu swego zmuszeni ogarniać całości społecznego mechanizmu; trwają tedy, po większej części, w nawykach myślowych, w których wzrosli. Po wtóre lekarze mają w tej sprawie odrębne stanowisko: oni są tu *wykonawcami*. Otóż, gdyby nawet prawo zwolniło zupełnie zabieg przerywania ciąży od kar, zawsze zostanie w nim dla lekarza coś, przed czym będzie się wzdragalo jego poczucie lekarskie: jego zadaniem jest leczyć choroby, nie zaś — dla względów obcych na pozór⁹ jego sztuce — przerywać stan fizjologiczny u osoby zdrowej, może narażając ją na chorobę. Lekarze wiedzą, że zabieg ten, mimo że, o ile wykonany umiejętnie, na ogół nie niebezpieczny, zawsze jednak jest zdradliwy i może mieć niepożądane skutki. Wprawdzie wzorowo wykonane przerwanie ciąży mniej — procentowo — przedstawia ryzyka od porodu, ale w przeciwieństwie do porodu, całe spada na odpowiedzialność lekarza. Jest to więc zabieg, w istocie swojej, dla lekarza niesympatyczny; i słusznie. Na to ktoś patrzący szerzej odpowie: „Zapewne, zabieg jest nieobojętny i niesympatyczny, ale faktem jest, że istnieje; gdy go nie zrobi lekarz, zrobi go kto inny, i wówczas jest sto razy gorzej”. I też ma słuszność.

Z drugiej strony, wchodzą tu w grę skrupuły etyki lekarskiej. Nie ma co obwijać w bawełnę: gdy pewna ilość lekarzy uprawia na wielką skalę przerywanie ciąży i czerpie stąd znaczne zyski, inni, widząc w tym igraniu z kodeksem ujmę dla stanu lekarskiego,

⁸*eugeniczny* — odnoszący się do eugeniki; tu mowa o unikaniu chorób genetycznych; *eugenika* (z gr. *eugenēs*: dobrze urodzony) — idea ulepszenia rasy (u zwierząt i ludzi) poprzez staranne kojarzenie w pary osobników o odpowiednich cechach. Pojęcie wykorzystywane w ideologii nazistowskiej, po drugiej wojnie światowej stało się niepopularne. [przypis edytorski]

⁹*gdyby nawet prawo zwolniło zupełnie zabieg przerywania ciąży od kar, zawsze zostanie w nim dla lekarza coś, przed czym będzie się wzdragalo jego poczucie lekarskie: jego zadaniem jest leczyć choroby, nie zaś, dla względów obcych na pozór jego sztuce, przerywać stan fizjologiczny u osoby zdrowej, może narażając ją na chorobę.* — Mówię na pozór, bo wszak nie tylko bezpośrednie zdrowie jednostki jest przedmiotem medycyny, ale i najszerzej pojęta higiena społeczna. [przypis autorski]

podwajają swą surowość. W każdym razie, lekarze mają tendencję zamykać się w sferze względów ściśle lekarskich; „reszta, powiadają, nie należy do nas, niech się tym kłopoce społeczeństwo”. Widzimy zgoła ekscesy surowości takie, że w niektórych towarzystwach ginekologicznych stawiano wnioski, aby lekarze, poza swoją przysięgą lekarską, zobowiązali się *słowem honoru*, że nigdy, pod żadnym pozorem (oczywiście poza bezpośrednim niebezpieczeństwem matki), nie będą przerywali ciąży. I z pewnością niejedna kobieta pada ofiarą owej surowości, spowodowanej tendencją do oczyszczenia stanu lekarskiego i obmycia go z krzywdzących podejrzeń. I oto tragiczny paradoks: gdy „nieetyczny” lekarz jest często zbawcą, lekarz etyczny bywa niemniej często zabójcą. Bo owa nieszczęsna sprawa ma tę właściwość, że często rzecz, dobrze i uczciwie pomyślana, działa w skutkach najfatalniej. Tak np. obowiązek lekarza donoszenia o wypadkach zakażenia, w praktyce okazuje się szkodliwy, bo kobieta, bojąc się lekarza, często nie wzywa go nawet w ostateczności.

Słusznie zaczyna swój wstęp do broszury prof. Glasera lekarz prof. Jakowicki, że „chcąc krótko scharakteryzować stosunek większości współczesnych społeczeństw do sprawy sztucznych poronień, musimy powiedzieć, że on jest przede wszystkim nieszczęry”. Nieszczerość ta odbija się poniekąd i na stanowisku lekarzy.

Nie może być inaczej. Lekarz, który chce być posłuszny ustawie i swojej lekarskiej przysiędze, musi być nieubłagany. Odmawia wręcz nieszczęsnej kobiecie, która błaga go o ratunek, odmawia biednej porzuconej dziewczynie lub ślubnej zbiedzonej matce kilkorga dzieci niezdolnej udźwignąć jeszcze jednej ciąży. Lekarz odmawia; — gdzie ona pójdzie ze swoim kłopotem — do Wisły czy do „baby” — to nie jego rzecz. Często wraca w ręce lekarza, ale przywieziona w ciężkim stanie do kliniki, lub wraca w jego ręce — na stole sekcyjnym. Toteż znamienne jest, że ten, który z zawodu swego ma sposobność spotkać się z tymi konsekwencjami „nieprzejednania” lekarzy, warszawski profesor medycyny sądowej, stanowczo wypowiada się za zniesieniem morderczego paragrafu i w ogóle „karalności”.

Czasem — właśnie jedna z matek zwierza mi listownie taki wypadek — lekarz, tknięty współczuciem, mówi: „Ja tego zrobić nie mogę, ale niech pani idzie do akuszerki, a jak się zacznie krwotok, niech pani mnie wezwie, albo niech pani jedzie na klinikę”. I ten sam lekarz udziela — wówczas z czystym sumieniem — pomocy, o ileż w gorszych warunkach! Znowuż hołd obłudzie społecznej — ale jakim kosztem?

Otóż ta katońska surowość ma swoją mniej sympatyczną stronę. Jak każde „nieprzejednanie” — mówiliśmy o tym w dyskusji „rozwodowej” — tak i ta rzecz ma swoje „konsystorskie dziewice”. Nie dla wszystkich jest medycyna tak nieubłagana; istnieją sposoby obejścia jej skrupułów. Skoro inny lekarz — czy dwóch lekarzy — znajdą jakieś — bodaj fikcyjne — wskazanie lekarskie do przerwania ciąży, wówczas specjalista może go dokonać z czystym sumieniem. Rozłożona niejako „na cztery ręce”, rzecz staje się o wiele mniej drażliwa. Ale furtka ta zachowana jest dla klas uprzywilejowanych. Stąd znowu paradoks: im kobieta, dzięki swemu położeniu, łatwiej mogłaby urodzić i wychować dziecko, tym łatwiej jej się postarać o przerwanie ciąży; na te natomiast, które rzeczywiście są w położeniu przymusowym i tragicznym, na te spada nieubłaganym ciężarem surowość etyki lekarskiej. I to — powtarzam — ostudza nasze dla tej etyki uznanie.

Mam przed sobą przejmujący w swojej nagiej prawdzie list biednej pracownicy, mężatki, matki czworga dzieci, które stara się jak najlepiej wychować, ale piątego urodzić już nie czuła się na siłach, ani też nie widziała możliwości wychowania go. Z zaświadczeniem dwóch lekarzy udaje się do kliniki; świadectwo opiewa, że „wskazane jest przerwanie ciąży z powodu wady serca, ogólnego wyczerpania i anemii”. Idzie na klinikę, kliniczni lekarze obserwują ją dwa dni i — oświadczają, że może rodzić... Nie jest do pomyślenia, aby z takim świadectwem — a nawet bez niego — kobieta z klas uprzywilejowanych nie znalazła pomocy lekarskiej dla przerwania ciąży. Gdy się ma tę świadomość, wówczas ta nad-sumienność lekarska, w tym wypadku ponad wszelki obowiązek, wydaje się dość wstrętna.

Bo, gdyby nawet ta robotnica nie była chora, tylko po prostu wycieńczona i biedna, zachodziłoby tutaj typowe *wskazanie społeczne* do uwolnienia jej od niepożądanego ciąży. Te wskazania społeczne coraz bardziej wdzierają się nawet w najmniej dostępne pozazawodowemu myśleniu ciała lekarskie. Gdy „prawo wyższej konieczności” (tak jak je świeżo

Lekarz, Obyczaje

jeszcze pojmował projekt naszego kodeksu) dotyczyło tylko wskazań lekarskich, obecnie wszyscy zaczynają rozumieć, jak formalistyczne i nieludzkie jest to zasklepienie. Zaczyna się już potocznie — w teorii na razie — operować nowymi pojęciami, jak *wskazania prawne* i *wskazania społeczne*.

Wskazania prawne, to przede wszystkim *gwałt*. Kodyfikatorzy zaczynają czuć niemoralność tego, aby osoba, która niewinnie padła pastwą zbrodni, musiała następstwa tej zbrodni ponosić. Wyloniła się ta kwestia zwłaszcza w czasie wojny, wobec częstych wypadków gwałtu przez nieprzyjacielskich żołnierzy. Jak barbarzyńsko-formalistyczny był dawniejszy — i dotychczas obowiązujący — sposób patrzenia, niech świadczy wypadek, który się zdarzył w Niemczech w r. 1924, cytowany przez prof. Glasera („Kilka uwag o spędzeniu płodu”). Oto sprawozdanie lekarza okręgowego i sądowego: „Dziesięcioletnia dziewczynka, nadużyta płciowo przez swego ojczyca, zaszła w ciążę. Zarówno lekarz właściwego szpitala, jak i kierownictwo uniwersyteckiej kliniki kobiecej odmówiło pomocy, powołując się na §§ 218 niem. ustawy karnej. Również odniesienie się do ministerium sprawiedliwości pozostało bez skutku. Dziecko musiało płód donosić”. Cytują i inny wypadek, gdy dziecko, mniej więcej w tym samym wieku, zapłodnione przez własnego ojca, gdy mu odmówiono przerwania ciąży, skończyło samobójstwem! Dodajmy, że dziecko urodzone przez takie dziecko niezdolne jest do życia i rychło umiera; cała więc męczarnia jest „społecznie” daremna!

To są wskazania prawne, które dyskutuje się obecnie wszędzie, ale dla których dotąd nie widzimy miejsca w projekcie naszej Komisji Kodyfikacyjnej. A cóż dopiero wskazania społeczne! Tę drażliwą kwestię każdy chce zepchnąć na drugiego. Prawnik myśli tak: niech lekarz znajdzie jakąś chorobę, to zawsze można pod jej płaszczkiem przemycić wskazania społeczne do przerwania ciąży. Owszem, lekarz znajdzie, ale wtedy, kiedy zajdzie w ciążę panna hrabianka lub kiedy nie chce się dziecka pani bankierowej; ale, jak widzimy, nawet rzetelne świadectwo dwóch lekarzy nie wystarczy biednej wyrobnicy, aby skłonić bezduszną i ciasną „etykę lekarską” do wykonania zabiegu, za którym w danym wypadku przemawia ludzkość i sumienie społeczne.

Są co prawda lekarze, którzy we własnym sumieniu znajdują wskazówki postępowania. „Kiedy widzę prawdziwą życiową konieczność, nieszczęście, wówczas nie waham się udzielić pomocy, ale czynię to bezpłatnie; ze złamania niedorzecznego i nieludzkiego prawa nie chcę czerpać zysku”, powiadał mi wręcz jeden z takich lekarzy. Na ogół jednak, tego, aby sami lekarze chcieli wziąć na siebie tę decyzję, tego, zdaje się, nie można się spodziewać. Już wskazania lekarskie zaledwie są przemycane w kodeksie elastycznym określeniem „prawa wyższej konieczności”, przy czym nigdy lekarz nie ma pewności, czy nie będzie włączony po sądach. Co do *wskazań społecznych*, odpowiada tedy stanowczo: to nie moja rzecz. Wprawdzie w szeregu odczytów urządzanych rok temu przez Warszawskie Towarzystwo Ginekologiczne znajdujemy piękny referat dr Zofii Garlickiej „Wskazania społeczne przerwania ciąży”, ale w dyskusji, jaka się na ten temat wywiązała, zapadła uchwała taka:

„Warszawskie Tow. Ginekologiczne wyraża zapatrywanie, że ustalenie wskazań socjalnych do przerwania ciąży nie należy do zadań zreszeń naukowo-lekarskich. Jednakże Warsz. Tow. Ginekologiczne uważa za konieczne, aby sfery kompetentne w możliwie krótkim czasie sprawę tę uregulowały”.

Tym wyraźniej zaznaczyłaby się kwestia: „Do kogo to należy?” — gdyby — po odpowiedniej reformie kodeksu — chodziło o rozstrzygnięcie poszczególnych wypadków. Światlejsi lekarze rozumieją oczywiście znaczenie wskazań socjalnych, które w niczym nie są mniej ważne od lekarskich; ale odpowiadają: „My nie jesteśmy powołani, aby to rozstrzygać; przekracza to nasz obowiązek, naszą kompetencję i nasze środki do ustalenia prawdy. Niech to rozstrzyga sędzia”. Inni (dr Altkaufer) proponują stworzone umyślnie komisje, składające się z „sędziów, jako przedstawicieli sprawiedliwości i sumienia społeczeństwa, z przedstawicielek instytucji w rodzaju *Ochrony nad matkami i dziećmi*, i ze znanych społeczników (pożądanym w komisjach jak najliczniejszy udział kobiet)”. To jest projekt dra Altkaufera, sformułowany na posiedzeniu Warsz. Tow. Ginekologicznego.

Komisja! Zapewne, pięknie to wygląda na papierze, ale wyobraźmy sobie tego rodzaju zbiorowe ciało, mające rozstrzygać sprawy drażliwe, wymagające tajemnicy i szybkiej

decyzji! Wyobraźmy sobie kobiety, które byłyby zmuszone przed taką komisją, złożoną z sędziów, społeczników i kobiet, odsłaniać swoje najtajniejsze niedole! Komisja, przypuścimy, jej racji nie uzna, a to, co chciała właśnie utaić, stanie się publiczną tajemnicą. Aby takie komisje mogły funkcjonować, musiałyby się bardzo zmienić psychika społeczeństwa. A co będzie z tymi, których komisja nie uzna: czy wrócą do domu i będą czekały rozwiązania? Nie ludźmy się: pójdą do akuszerki, albo same będą próbowały wszelkich możliwych i niemożliwych środków. Więc co właściwie się wygra? Zapewne coś; to, że znaczny odsetek kobiet, które dziś ronią pokątnie, mógłby przejść ten zabieg w pomyślnych warunkach. I to, że uczyni się wyłom w istniejącym fałszu, że rzecz wyjdzie z martwego punktu. Zawsze to krok naprzód; jeżeli niepodobna zwalić wręcz morderczego paragrafu, niechby były komisje, pokaże¹⁰ się, jaki dadzą rezultat.

Tak więc, w ostatnim czasie, zagadnienie narzuca się wszędzie; zmusza nawet lekarzy, aby wyszli ze swego ciasnego zawodowego stanowiska. Od sekretarza Naczelnej Izby Lekarskiej, dra Mozołowskiego, dowiedziałem się, że ta Naczelna Izba, która rok temu oddaliła w ogóle tę kwestię jako nie należącą do jej sfery działania, obecnie zamierza przystąpić do jej rozpatrzenia¹¹.

Na jedno niebezpieczeństwo trzeba tu jeszcze zwrócić uwagę. W ostatnim czasie, kiedy w Komisji Kodyfikacyjnej powiał wiatr seksualnego liberalizmu, wysunął się projekt, aby zwolnić od odpowiedzialności karnej matkę, zawiesić natomiast nadal miecz prawa nad tymi, którzy jej do przerywania ciąży pomagają. Miałoby to ten skutek, że lekarz byłby podwójnie narażony. Obecnie, wspólność przestępstwa tworzy niejaką solidarność: w razie zapewnionej bezkarności matki, zawsze lekarz znajdowałby się pod grozą szantażu lub rekryminacji kobiety, której pomógł w niedoli. Tym bardziej lekarze wzdragałoby się dokonywać tego zabiegu, tym bardziej więc srożyłoby się pokątne partactwo. Usunięcie z kodeksu karalności matki, bez odpowiednich reform w innych punktach, byłoby dla kobiet zdobyczą czysto teoretyczną — bo i tak u nas się ich za to prawie nigdy nie karze — a mogłoby ogromnie pogorszyć higieniczną stronę tego „występu”.

Widzimy już z tego pobieżnego szkicu, jakimi trudnościami najeżona jest cała kwestia. I niech czytelnik sobie nie wyobraża, że ktokolwiek walczy z zapalem w obronie przerywania ciąży. Wręcz przeciwnie; wszyscy uważają to za ostateczność, która powinna by jak najrychlej zniknąć z życia społecznego. Zamiast przerywać i zabijać życie, powinno by się stworzyć warunki, w których matka mogłaby z radością dziecko urodzić. A tam, gdzie to niemożliwe, tam, zamiast przerywać ciążę, powinno by się nie dopuszczać do niej. I o tym interesującym ruchu, który pod mianem *neo-maltuzjanizmu*¹² — jawnie lub tajnie, głośno lub milcząco, zależnie od warunków i możliwości — szerzy się w różnych krajach — pomówimy w jednym z następujących artykułów.

PRAWNICY PRZECIWIW PRAWU

W związku z omawianą przez nas od kilku numerów kwestią, tygodnik „Kobieta Współczesna” podnosi znamieny fakt milczenia kobiet.

Kobiety milczą — pisze. — Milczą jak zawsze, gdy mężczyźni rozstrzygają ich sprawy; milczą wstydliwie w niewoli niewidzialnej choć istniejącej „zmowy mężczyzn”.

Mnie się fakt milczenia kobiet w tej sprawie nie wydaje tak dziwny. Wszak milczeli o niej wszyscy; żywi i — umarli. Trupy grzebało się po cichu, obłudzie moralnej działa się zadość. I aby nareszcie ktoś poczuł potworność tego stanu rzeczy, trzeba było, aby

¹⁰pokaże się — dziś: okaże się. [przypis edytorski]

¹¹Od sekretarza Naczelnej Izby Lekarskiej, dra Mozołowskiego, dowiedziałem się, że ta Naczelna Izba, która rok temu oddaliła w ogóle tę kwestię jako nie należącą do jej sfery działania, obecnie zamierza przystąpić do jej rozpatrzenia — W następstwie, Naczelna Izba Lekarska powołała w tym celu osobną komisję; zaszczycono mnie zaproszeniem do wejścia w jej skład i... od tego czasu więcej o niej nie słyszałem! [przypis autorski]

¹²neo-maltuzjanizm a. neomaltuzjanizm — pogląd, według którego przeludnieniu należy zapobiegać za pomocą regulacji urodzeń; pochodzi od maltuzjanizmu, tj. statycznej teorii zasobów, głoszonej przez Thomasa Malthusa (1766–1834). Zauważył on, że przyrost ludności powoduje ubożenie społeczeństwa i dlatego należy mu zapobiegać, opóźniając zawieranie małżeństw i ograniczając pomoc społeczną dla uboższych tak, aby się nie rozmnażali. [przypis edytorski]

w obronie kobiet wypowiedzieli się ci, których zadaniem jest zwykle oskarżać lub sądzić: prokuratorzy i sędziowie.

Dlatego, aby ośmielić do przerywania tego milczenia, uważam za właściwe przytoczyć szereg głosów najbardziej autorytatywnych, a zebranych w osobistych rozmowach.

B. prezes Sądu Najwyższego, członek Komisji Kodyfikacyjnej, p. Mogilnicki, mówi w tych mniej więcej słowach:

Rzecz ma trzy fizjonomie: lekarską, prawną i społeczną. Jest bardzo trudna. Zła jest ustawa, złą wydaje się bezkarność. Ja, po głębokim namyśle, doszedłem do przeświadczenia, że ustawa, której się nie wykonywa, którą na dziesiątki tysięcy wypadków stosuje się kilka razy, taka ustawa jest martwa i nie do utrzymania.

Nie uznaję argumentu o zaludnieniu. Są inne sposoby zwiększenia zaludnienia — nawet gdyby je ktoś uznał za potrzebne — nie kodeks karny. W Niemczech, z początku wojny, głoszone hasło: „Pamiętajmy o roczniku 1934”, nawołując, aby jeńców wojennych rozmieszczać po chatach żon, których mężowie byli na froncie, i w ten sposób zawczasu zapewnić sobie przyrost ludności. To też był pozytywny взгляд na przyrost ludności, a jednak trudno go pochwalić; co dowodzi, że nie wszystko można usprawiedliwić polityką populacyjną.

W Komisji Kodyfikacyjnej byłem za niekaralnością. W pierwszym paragrafie (niekaralność matki) zgłosiłem *votum separatum* mniejszości; co do innych punktów, te zdawały się w tym celu beznadziejne. Ale na zjeździe prawników wypowiedziałem się wręcz za niekaralnością.

Byłbym za dozwoleniem tego zabiegu lekarzom i za pozostawieniem ich etyce lekarskiej, aby go wykonywali jedynie w wypadkach istotnych wskazań lekarskich lub społecznych. Bardzo ostro natomiast należałoby karać osoby nieuprawnione.

Falszywe jest mniemanie, jakoby tylko żywioly radykalne były za niekaralnością. Oto b. prezes Sądu Apelacyjnego Czerwiński, człowiek bardzo konserwatywny, przeszło siedemdziesięcioletni, oświadczył się za niekaralnością na podstawie swojej pięćdziesięcioletniej praktyki.

Niedorzecznością jest — wobec osobistego poczucia każdego człowieka — wymierzanie jednakiej kary dzieciobójczyni, a kobiecie, która bodaj w pierwszych dniach przerwie ciążę.

Były minister sprawiedliwości, członek Komisji Kodyfikacyjnej, prof. Wacław Makowski:

Kwestia jest trudna. Przyznaję, że między projektem ustawy — zaznaczam, że jest to projekt i że jest naszym życzeniem, aby wywołał najszerszą dyskusję — a życiem, a tym co widzimy dokoła, istnieje wielki rozdźwięk. Ale cóż, my prawnicy, my kodyfikatorzy, jesteśmy *redaktorami* ustaw; nie tworzymy rzeczywistości prawnej, ale ją redagujemy. Opinia musi nas wyprzedzić. Otóż, w tej rzeczy, opinia nie wypowiedziała się dotąd: były prywatne rozmowy, nie było głosów publicznych. Tegoroczny zjazd prawników to niemal pierwszy taki głos; i dał on niewątpliwie Komisji Kodyfikacyjnej do myślenia.

Zaznaczyć muszę, że projekt nasz zostawia dość szerokie pole do interpretacji w swojej części ogólnej, tam gdzie mówi o prawie wyższej konieczności. Pod nią dałoby się podciągnąć i *wskazania społeczne*. Nic nie stoi na przeszkodzie instytucjom społecznym, aby działały w tym kierunku...

To, co my tworzymy, to jest projekt; kodeks karny nie może uwzględniać problemów opieki społecznej, należącej do prawa cywilnego; kiedy przedłożymy nasz projekt sejmowi, w którym znajdują się przedstawiciele społeczeństwa we wszystkich jego kompetencjach, zadaniem sejmu będzie uzgodnić te względy i połączyć je w całość. Ale nawet lekarze mogą rozszerzyć pojęcie wyższej konieczności... To pewna, że jeżeli społeczeństwo chce

Obyczaje

dysponować matką, w takim razie powinno się nią zaopiekować w czasie jej ciąży.

Sędzia Sądu Najwyższego Edward Lorenz:

Na podstawie długoletniego doświadczenia sędziego i prokuratora, mogę stwierdzić, że ustawa ta jest jedną z ustaw dla parady, jak np. ustawa o pojedynkach; nigdy prawie się jej nie wykonywa. Wypadki działania ustawy to są białe kruki. I wtedy podciąga się je często pod ogólne „działanie nieumyślne”, „spowodowanie szkodliwości dla zdrowia lub życia”. I w Polsce ustawa ta nie będzie zapewne stosowana, społeczeństwo nie pragnie tego, a w takim razie sąd nie ma nic do gadania.

Jak rzecz rozstrzygnąć? To jedno z najtrudniejszych zadań polityki kryminalnej. Wymaga i przerobienia opinii pewnych sfer, i urobienia opinii ogólnej. Nie sądzę, aby Polska mogła je rozwiązać na własną rękę, raczej będzie trzeba zjazdów ogólnoprawniczych całego świata. Wchodzą w grę u nas w Polsce różne czynniki, i liczenie się z Europą, i obawa zarzutu „bolszewizmu”, i obawa, że zniesienie karalności wywoła rozluźnienie obyczajów, i może brak szerszego spojrzenia u twórców nowego kodeksu, który zapowiada się jako zlepek różnych starych i zagranicznych norm prawnych.

Mimo to, co do mnie, wyznaję, że nie miałbym może odwagi cywilnej, aby wystąpić za zupełną niekaralnością. Jestem może zacořany, wychowałem się pod naciskiem pewnych pojęć, pewnych paragrafów, byłoby to dla mnie może zbyt radykalne. Raczej oświadczyłbym się za stworzeniem ram, w których sędzia mógłby sądzić po ludzku i uwalniać szeroko tam, gdzie by widział konieczności życiowe.

— Czy pan sędzia nie uważa, że wypadki, które przychodzą przed sędziego, są znikomo rzadkie i przeważnie śmiertelne, natomiast olbrzymia jest ilość tych, które nie dochodzą do wiadomości sądów, a w których ustawa działa mimo to szkodliwie, pozbawiając kobietę pomocy fachowej i zdając ją na konieczność pokątnych praktyk?

— Niewątpliwie.

— A jak pan sędzia się zapatruje na ankietę w tym przedmiocie: czy uważa ją za celową?

— Niezmiernie. Aby rzecz stała się dojrzałą dla radykalnych posunięć ustawodawcy, trzeba, aby nastąpiła wprzód przemiana pojęć.

Prokurator Sądu Apelacyjnego, dr Kazimierz Rudnicki:

Rozdźwięk między projektem Komisji Kodyfikacyjnej a życiem pochodzi, moim zdaniem, stąd, że ustawy tworzą ludzie przedwojenni, wzrosli w pewnych pojęciach, a życie w ostatnich czasach idzie straszliwie szybko naprzód. Ja sam wyznaję, że trudno by mi było pogodzić się z tezą zupełnej niekaralności, mimo iż mam przekonanie, że ustawa, która nie działa, jest martwa i jest anomalią. Co więcej, obecnie ustawa ta wymierzona jest jedynie w pracującą ludność, w ludzi biednych.

— Czy pan prokurator nie uważa, że ustawa ta, o ile działa, to działa szkodliwie, i że tych kilkaset zwłok, które prof. Grzywo-Dąbrowski sekcjonuje co rok w samej Warszawie, to pośredni skutek ustawy, nie mówiąc o innych mniej uchwytnych skutkach?

— Z pewnością! Oczywiście, jestem za tym, aby nie wolno było niepowołanym pod surową karą wykonywać tego zabiegu. Na ogół najbardziej skłaniałbym się do tezy Towarzystwa Kryminologicznego (niekaralność w pierwszych trzech miesiącach ciąży). Może byłby też sposób ustalenia wskazań, choć wyznaję, że komisje wydają mi się mało praktyczne...

Prof. wolnej wszechnicy Michał Orzęcki:

Prawnik

Prawo

Prawo! Uważam, że prawnicy są od redagowania ustaw, a nie od ich tworzenia; nieraz mają oni tu mniej do gadania od innych, nie znając często życia i jego specjalnych warunków. Co się tyczy istoty, treści ustaw, nie zaś ich formy, do tego powołane jest samo społeczeństwo; dlatego taką ankietę uważam za bardzo potrzebną i wskazaną.

Prawo jest dziecinne. Tak samo jak dziecko bije przedmiot, o który się uderzy, tak prawo karne nie ogląda się, czy ta kara ma jakiś skutek, czy ma jakiś sens, czy odpowiada wyższej sprawiedliwości. Zbrodnia mieści w sobie pojęcie czynu rzadkiego: nie może być zbrodnią to, co jest powszechne.

A wreszcie medycyna zna hasło: *primum non nocere*; czy nie byłoby słuszne, aby i Komisja Kodyfikacyjna przyjęła tę zasadę?

A prawo matki do swego ciała czy nie wchodzi tutaj w grę?

Jestem za absolutnym usunięciem paragrafu. Faktowi przerywania ciąży trzeba przeciwdziałać w inny sposób: za pomocą reform społecznych, ustaw o alimentacji, o dochodzeniu ojcostwa, za pomocą przeobrażeń opinii o nieślubnej ciąży. Ale walić wszystkie ciężary na matkę i grozić jej więzieniem, gdy ta, będąc w anormalnym stanie, próbuje się od nich uwolnić, to jest niegodne naszego ustawodawstwa.

P. Aleksander Lednicki:

Uważam, że tu się ścierają dwa światopoglądy: jeden z końca XIX wieku, reprezentujący liberalizm, demokrację i sprowadzenie do minimum ingerencji państwa w życie osobiste obywateli. Tym tłumaczy się, że właśnie najstarsi ludzie zajęli na zjeździe prawników najliberalniejsze stanowisko.

Drugi biegun, to powojenna reakcja przeciw zepsuciu obyczajów, obrona społeczeństwa i — w rezultacie — nawrót do państw policyjnych XVIII wieku.

Ja osobiście, jako obywatel, jako człowiek i jako prawnik, jestem za absolutnym zniesieniem karalności. Natomiast gdybym był prawodawcą, zatrzymałbym w obecnej chwili karalność, ograniczywszy ją odpowiednio, ponieważ świadomość opinii o bezcelowości i nieskuteczności represji karnych nie przeniknęła jeszcze w społeczeństwo, dlatego to zwolnienie od kary mogłoby być uważane za obrażające moralność publiczną i za zachętę do czegoś, co bezwarunkowo jest objawem ujemnym.

Dlatego też to przygotowanie, urobienie opinii, jakie pan przedsięwziął, uważam za bardzo wskazane.

Natomiast ten nawrót do policyjnego państwa, jaki widzimy we Włoszech, to, aby policjant miał prawo mieszać się do alkowy i do sposobu, w jaki ktoś żyje z żoną, to wydaje mi się ohydne. Jest to sprowadzenie człowieka do roli reproduktora, a kobiety do roli samicy.

*

Oto kilka zdań prawników. Jakże dalekie są — nieprawdaż? — od apodyktycznego rozstrzygnięcia sprawy przez nasz projekt kodeksu, który nic nie umiał powiedzieć w tej kwestii poza hojnym dawkowaniem lat więzienia. Oto przykład, jak ta ankieta była potrzebna i jak pilna. Będziemy ją też prowadzili dalej; zarazem będziemy wdzięczni tym, którzy sami pragnęliby na nasze ręce przesyłać wypowiedzi.

RZECZYWISTOŚĆ

W poprzednim felietonie streściłem poglądy osobiste kilku czołowych prawników — byli wśród nich członkowie Komisji Kodyfikacyjnej — na tę jakże trudną i skomplikowaną sprawę. Jak gdyby w odpowiedzi na te enuncjacje, otrzymałem równocześnie list; list od jednej z tych, na których skórze od tysięcy lat odbywają się owe eksperymenty ustawodawcze. List ten jest tak znamieny, tak wymowny w swojej prostocie, że pozwalałam

sobie przytoczyć go prawie w całości. Dla każdego, kto, w todzie prawnika czy w białym kitlu lekarza, nie przestał być człowiekiem, ten głos jednej z wielu mówi sam za siebie. Słyszeliśmy teorie, postulaty — tu przemawia rzeczywistość. Oto ów list. Wybrałem go spośród innych listów, które potwierdzają tylko jego osnowę.

Szanowny Panie!

Przede wszystkim muszę zaznaczyć, że nigdy nie zabierałam głosu w sprawach tzw. społecznych.

Jestem sobie zwyczajną kobietą, żoną urzędnika, siedzącą stale w domu, piorącą, szyjącą, gotującą i wychowującą dwoje dzieci, bez służącej. (Tylko nie mam pewności, czy to wszystko jest pracą, gdyż dochodu nie przynosi).

A więc dość ogłupiała, żeby nie umieć listu dobrze napisać i wyrazić myśli, które po głowie się płaczą. Jednak pozwolę sobie wyrazić Panu podziękowanie w imieniu wszystkich kobiet, które w sprawie przerwania ciąży głosu nie zabierały, nie zabiorą i zabierać nie będą, a które cierpią i umierają z powodu niegodziwego kodeksu, narzucającego kobiecie ciężę niepotrzebną i niepożądaną. Wpadł mi w ręce „Kurier” z artykułem Sz. Pana pod tytułem *W jaskini lwów*.

Tak się złożyło, że pisząca ten list jest po operacji „zakazanej” i może uwagi moje na ten temat, choć nie udatne, przydadzą się Sz. Panu w dalszej walce o ludzkie prawa dla kobiet. Otóż przerywanie ciąży stosuję czwarty raz. Warunki ekonomiczne i marne zdrowie nie pozwalają, żeby mieć więcej dzieci.

Dzieci moje są wątłe. Dwa razy po zajściu w ciążę udawałam się do akuszerki i w obu wypadkach skończyło się na chorobie i lekarzu. Obecnie po zastosowaniu „najpewniejszego” środka zaszłam znów w ciążę. Nie wiedząc o tym, zaczęłam chorować na płuca, trochę kaszlać, trochę gorączkować, aż pewnego dnia odplułam krwią. Lekarz stanem płuc się zaniepokoił, posłał mnie do prześwietlenia, kazał leżeć, żeby nie przyszło do krwotoku płuc. Roentgen wykazał stare sprawy zwapniałe, w kilku miejscach nacieczenia płuc i nowe ogniska, analiza obecności prątków nie wykazała, ale lekarz mówił, że mogą być w stanie utajonym, czy przyzajonym. Lekarz orzekł, że stan jest nie najgorszy, ale i nie dobry. Mam leżeć i uważać się za najważniejszą osobę w domu.

Po dwóch tygodniach okazuje się, że jestem w ciąży — ogarnęła mnie rozpacz.

Ale myślę tak: wobec tego, jaki jest stan płuc — nie mogę pójść do zwykłej akuszerki, jak to już czyniłam. Zwrócę się do Kasy Chorych. Jest lekarz, który mnie leczy, jest orzeczenie Roentgena. Zdawałoby się, wszystko w porządku.

Posyłają mnie na komisję. Jestem na tej komisji. „Pani chora na płuca?” Tu są orzeczenia, panie doktorze. „Nie chce pani mieć dziecka?” (uśmieszek pana lekarza). „Kiedy pani miała ostatnie dziecko? — Pięć lat temu. — No więc? Najwyższy czas mieć następne!” Zmrużenie oka i uśmiechy wszystkich panów doktorów. „Nie mogę mieć, panie doktorze, z wielu powodów, dla pana doktora jest jednak ten najważniejszy, że przez 2 tygodnie odpluwałam krwią. — Tak? A cóż to szkodzi?” Cała komisja się śmieje i patrzy na mnie czterech panów doktorów. „Zaczeka pani na orzeczenie”. Czekam, dostaję kartkę. „Nie ma wskazań do przerwania ciąży”. Na drugi dzień, znajoma pani poszła ze mną do swej lepszego gatunku akuszerki, ta zrobiła operację i obecnie leżę; zdaje się, że tym razem obejdzie się bez choroby. Tyle o mnie. Czekając w Kasie Chorych byłam świadkiem rozmowy lekarki z lekarzem — lekarka mówi: „kobieta chora, w ciąży, dziecko może być ślepe”. Lekarz odpowiada: „Trudno, niech się o dzieci nie stara”. Tyle tylko słyszałam — nie wiem o jaką kobietę chodziło i na co jest chora, ale ta odpowiedź „niech się o dzieci nie stara” — to nieludzkie i nieuczciwe traktowanie sprawy. Inny wypadek. Znajoma moja, żona sierżanta W. P., kobieta młoda (23 la-

Kobieta

Praca

ta), matka trojga dzieci, schorowana, zmęczona dziećmi i niedostatkiem — leczyła się w Szpitalu Ujazdowskim, opowiada mi: „Nie śmiałam się lekarza spytać, nie miałam odwagi, no i wstydziłam się, no, ale jakoś po walce z sobą w końcu pytam: Panie doktorze, co ja mam robić, żeby w ciążę nie zachodzić? — chora jestem, dzieci troje, jedno umarło, pensja mała. — Co robić? Nie spać z mężem” — brzmiała odpowiedź lekarza i zdrowy rubaszny śmiech jego. Kobieta ta już w ogóle leczyć się nie chce w Szpitalu Ujazdowskim, a gdzie indziej nie może. Jeszcze się dziś rumieni, kiedy to opowiada.

Inny wypadek w Kasie Chorych na Solcu. Siedzi na ławce uboga kobieta — nędzna, no, skończona biedota. Opowiada i płacze, jaka to ona chora, dzieci czworo, mąż pije, jeść nie ma co — wołają jej numer, idzie. Wszystkie kobiety ciekawe, co jej jest, co jej lekarz powie.

W końcu wychodzi błada jak trup. „O Jezu! piąte dziecko”. Kobiety się jej dopytują, co jej lekarz powiedział. „A no, że jestem w ciąży, jeszcze się z mojego nieszczęścia śmieje, ja mu mówię, że mi już żyć niemiło, a on mi się pyta, czy kochać się było miło? A żeby skonać nie mógł”. — Tak wyglądają z bliska „wskazania lekarskie” w Kasie Chorych, szpitalach itp.

Idą do lekarza po pomoc i poradę, a spotykają je drwiny i nieinteligentne dowcipy lekarzy. Takich kwiatków co druga kobieta mogłaby opowiedzieć; nie skarżą się, bo się przeważnie wstydzą o tym mówić. Nie wiem, co jest straszniejsze, kodeks niegodziwie wymierzony w kobietę, czy owi lekarze tak często spotykani w Kasach Chorych. Są wyjątki, ale tylko wyjątki. Są lekarze rozumni, współczujący — pomoc nie może, bo mu prawo nie pozwala (czasem i koleddy), ale bodaj nie żartuje z cudzego nieszczęścia i radzi jak może. Jedno na ogół uderza, nigdy się nie spotyka z podobnymi drwinami u lekarzy specjalistów prywatnych — ale cóż, wizyta u nich kosztuje drogo, a pensja urzędnicza na to nie wystarcza — a biedna kobieta, żona jakiegoś sierżanta czy robotnika, już sobie na ten zbytek pozwolić nie może, i z reguły jest narażona na nieprzyzwoite żarty lekarzy. Idą do akuszerki, i ta się nie śmieje, ona poradzi, doradzi, a czasem i łąza się w jej oku zakręci. Jedna z nich mi mówiła, że zgłosiła się do niej matka siedmiorga dzieci, prosząc o przerwaniu ciąży, wyjęła z chusteczki 10 zł. i kładzie na stole, więcej nie mam, ale pani Pan Bóg wynagrodzi, bo jakby to się miało urodzić, to uduszę, albo się sama powieszę.

„Nie wzięłam od niej nic i dałam jej trochę łachów dla dzieci, i poradziłam, żeby przychodziła co miesiąc, to jej będę ochronę zakładać”.

Środki ochronne nieprędko trafią do ludzi ubogich, są przeważnie drogie i też czasem zawodzą. Przerwanie ciąży będzie praktykowane mimo zakazów i kodeksu, i w miarę uświadamiania kobiet będzie praktykowane na szeroka skalę. Pani, która mnie robiła operację, jest dumna z tego: „Dwadzieścia lat pracuję w ten sposób i jeszcze mi żadna klientka nie umarła ani ciężko nie chorowała”. Oczywiście pani ta ma swego lekarza i ten w razie komplikacji niesie pomoc. Ale honorarium tej pani jest wysokie (200 zł.) i przyjmuje tylko osoby pewne i polecane (jedna klientka przyprowadza drugą). Ale nie każda kobieta może sobie na to pozwolić, idzie do partaczki za 20–30 zł., choruje, czasem umiera, ale cóż znaczy choroba, a nawet śmierć wobec niepotrzebnego dziecka, które jej niesie niedolę i niedostatek, a czasem nędzę ostateczną dla dzieci, które już są.

Stanowisko Komisji Kodyfikacyjnej wydaje mi się nieuczciwe i obłudne. Kraj, który musi wysyłać tysiące ludzi do obcych za chlebem, taki kraj chyba nie ma prawa mówić o polityce populacyjnej. Kraj, w którym nie ma dla wszystkich dzieci szkół, w którym na 9-ro dzieci urodzonych umiera 4–5-ro, gdzie dzieci ludzi ubogich chowają się na ulicy i w rynsztokach, ojciec w pracy lub szynku, matka na postudze, a dzieci robią co chcą, głodne i obdarte.

Kobieta, Ciąża, Pozycja społeczna, Lekarz

Sądzę, że nikt nie ma prawa narzucać kobiecie ciężę niepotrzebną, tylko ona sama może decydować, czy ma mieć dziecko, czy nie, gdyż konsekwencje tylko ona ponosi.

Nie ma kobiety, która by dziecka mieć nie chciała, każda, która nie ma, stara się o nie wszelkimi środkami, leczy itd., brak potomstwa jest jej osobistą tragedią. Ale ta sama kobieta będzie się bronić przed nadmiarem dzieci i sądzę, że ma do tego zupełne prawo.

A głupi lekarz nie ma prawa z niej śmiać się ani ubliżać jej niegodziwymi dowcipami. A w ten sposób duża część lekarzy pojmuje swoje stanowisko i „wskazania lekarskie”.

...Wracam jeszcze do „wskazań”. Jeden lekarz mówi: „ciąża panią wyleczy z gruźlicy, tylko się dobrze odżywiać”. Inny znów mówi: — „ciąża wyczerpie i osłabi organizm i może przyjść do otwartej gruźlicy, zwłaszcza jak pani będzie się męczyć i nie będzie w odpowiednich warunkach”. Jak to właściwie jest, leczy cięża gruźlicę, czy nie?

Jak się nie męczyć, mając 600 zł. miesięcznie, płacić szkołę, mieszkanie itd., o tym nie mówi ani lekarz, ani kodeks. Mnie się zdaje, że w Polsce powinna być przeprowadzona propaganda za ograniczeniem potomstwa, choćby ze względu na przewroty społeczne. Z dzieci wychowanych w nędzy, rzucanych na bruk ulicy, wyrastających w głodzie i niedostatku — wyrośnie człowiek zły, mściwy, niezadowolony. Będzie rósł w Polsce wieczny mściciel, wieczny burzyciel. A stan jest taki, że czym biedniejsza kobieta, tym trudniej jej przerwać ciężę. Nie wiem, czy uwagi moje są słuszne, czy nie, ale prawie wszystkie kobiety tak myślą, z którymi się spotkałam. Tylko jedne się wstydzą o tym mówić, inne sądzą, że nie wypada, a jeszcze inne uważają, że grzech. Wszystkie jednak cierpią, płaczą i robią się z nich różne „baby jędze”, zatruwające życie mężowi i otoczeniu, nikt się jednak nie zastanawia, jak się też układało życie takiej jędzy zahukanej dziećmi i nie mającej dość chleba, żeby zapchać złośliwe gęby, które chcą jeść. Żeby prawodawca, nim stworzy swój kodeks, przeszedł się po wsiach i miastach, zajrzał do mieszkań urzędniczych, robotniczych i chłopskich, zobaczył, jak ludzie żyją, umierają, myślą, poznał ich smutki i radości, wówczas kodeksu tego by nie było. Nie wystarczy być człowiekiem oświeconym, trzeba być jeszcze myślicielem, mieć serce i sumienie układając prawa. W przeciwnym razie życie pójdzie po prawach i kodeksach. Będzie je tratowało na każdym kroku, a ofiarą będzie padać kobieta inteligentna, jak i zwykła robotnica-matka.

Niestety, muszę pozostać „anonimem” ze względu na list „nieprzyzwoty” i na to, że nie znam bliższego adresu Sz. Pana, a właściwie nie wiem, czy dojdzie w ogóle jego rąk.

Z poważaniem łączę wyrazy szacunku.

13. XI. 929.

Oto życie. Jakże znów daleko jesteśmy od wszystkich dyskusji społecznych, lekarskich czy prawniczych! Więc gdy ustawodawca biedzi się, w jaki by sposób wprowadzić do ustawy *wskazania społeczne* do przerywania ciąży, na których słuszność w zupełności się godzi; gdy *wskazania lekarskie* są czymś od dawna uznanym, w życiu są wypadki — ba, są one wręcz regułą — że nawet połączenie wskazań społecznych i lekarskich, popartych świadectwami lekarzy i specjalnymi badaniami, nie wystarcza, aby kobieta mogła przejść niezbędną operację w warunkach legalnych i higienicznych! *Oczywiście kiedy jest biedna*; bo dla bogatych sztuka lekarska nie jest tak nieprzejeđnana...

I taki lekarz, odmówiwszy ubogiej matce *należnej jej pomocy*, wepchnąwszy ją w ręce partactwa i wyzysku — bo wprost z kliniki ta kobieta idzie oczywiście gdzie indziej! — wpędziwszy ją często odmową swą w chorobę, czasem — pośrednio — przyprawiwszy o śmierć, z pewnością bardzo jest dumny ze swego fałszywego katoństwa! Wyobraża sobie, niebożątko, że wzmocnił „mocarstwowe stanowisko Polski” o jednego przyszłego obywatela, gdy tymczasem wniósł w ubogi dom nieszczęście i chorobę, może dzieci

pozbawił matki. Trzeba by koniecznie zaprowadzić kursa¹³ uświadamiające dla lekarzy, które by ich wyprowadziły z ich ciasnutkiego stanowiska. Już to samo, że lekarzom lek-
cje ludzkości dają w tej mierze — prokuratorzy, powinno chyba obudzić refleksje.

Toż samo co do drugiej strony kwestii, to jest co do środków zapobiegawczych przeciw ciąży w ciąży. Powinni lekarze zrozumieć, że kiedy kobieta nie może bez szkody dla siebie i dla bytu rodziny mieć dzieci, *obowiązkiem* lekarza jest ją uświadomić najtroskliwiej co do środków zapobiegawczych, tak samo jak obowiązkiem jego byłoby dać wskazówki, jak się ustrzec choroby zakaźnej. Powinni zrozumieć, że to jest jedna z najpoważniejszych, najdrażliwszych spraw w życiu kobiety, a nie temat do jowialnych dowcipów, które znam zresztą aż nadto dobrze z czasu mego pobytu w klinikach. Ale cóż, nasi lekarze, zamiast myśleć o swoich ludzkich i lekarskich obowiązkach, bawią się w „politykę populacyjną”. Niedawno czytałem w jakichś Nowinach lekarskich, z powodu nieznacznego spadku urodzeń, alarm, że „czas zastanowić się poważnie nad naszą polityką populacyjną”. Fabryki oddalają mnóstwo robotników dla braku pracy, ludzie mieszkają pod mostem albo po kilka rodzin w jednej izbie, ekonomiści powiadają, że produkujemy rocznie nadwyżkę 400.000 dzieci, z którymi nie wiadomo, co robić, wobec tego że nawet drogi emigracji zaczynają się zamykać — a lekarze mającą coś o polityce populacyjnej, która w dodatku jest żalosną fikcją! Bo kwestię tej nadwyżki regulują w znacznej mierze — fabrykan-
ci trumienek dzieciennych; i w tym świetle jeszcze niedorzeczniej i ohydniej wygląda ta „polityka populacyjna”, o której coś gdzieś zasłyszeli niedouczeni lekarze.

A teraz — dla kontrastu. W chwili gdy miałem oddać ten felieton do druku, przeczytałem w komunikacie P. A. P., zaczerpniętym z tygodnika „Observer”, wiadomość, iż:

Związek Chirurgów Norweskich, po dokładnym opracowaniu tej kwestii, doszedł do wniosku, że przerwanie ciąży winno być zabiegiem legalnym i wygotował odpowiedni projekt. Zanim projekt ten będzie mógł być przedstawiony Zgromadzeniu Narodowemu, musi on zostać zaaprobowany przez Narodowy Związek Norweskich Lekarzy. Wiadomo już jednak, że znaczna większość lekarzy tego kraju popiera projekt, o ile więc nowe prawo niekaralności sztucznych poronień zostanie uchwalone, jak się na to zanosi, będzie Norwegia, poza Rosją, jedynym krajem, gdzie operacje takie będą dozwolone przez prawo. Projekt przewiduje wyznaczenie w każdym okręgu listy lekarzy upoważnionych do wykonywania operacji. Jedynie sfery kościelne w Norwegii, niezależnie od wyznania, zapowiadają energiczną walkę przeciwko uchwaleniu prawa.

Wszystko to, wraz z listem nieznanym czytelniczki, do rozwagi naszym lekarzom przedkładam.

BŁOGOSŁAWIENSTWO BOŻE

Nie wiem, czy potrzeba jeszcze raz zwrócić uwagę, że w całej tej dyskusji o przerywaniu ciąży nikt nie zachwala tego zabiegu, ale, wręcz przeciwnie, wszyscy uważają go za zło, zło czasem nieuniknione i przedstawiające się najczęściej w postaci faktu nie do odwrócenia. To, aby przerywanie ciąży nie było nigdy i w żadnym wypadku potrzebne, to jest oczywiście ideałem. Jakie warunki musiałyby się ziścić w tym celu? Jest ich cały szereg. Zdjęcie hańby z nieślubnego dziecka; otoczenie szacunkiem matki, która, porzucona przez mężczyznę uchylającego się od swych obowiązków, sama odważnie się ich podejmuje; ochrona kobiety na czas ciąży i w położeniu; żłobki, domy matki i dziecka, poprawienie stosunków mieszkaniowych, może ustosunkowanie płac wedle ilości dzieci, lub wprowadzenie ubezpieczeń na wypadek narodzin dziecka, odpowiednie reformy systemu podatkowego, uregulowanie alimentacji, etc., etc. — oto olbrzymi zakres opieki społecznej. Samo rozpięcie tych reform wskazuje, że nie będą one wykonane tak szybko i że nieraz wymagałyby zasadniczej zmiany w psychice społeczeństwa.

Cóż więc czynić w wypadkach, gdy ciąża jest niepożądana? Słusznie z wielu stron zwracają uwagę, że zamiast ją przerywać, lepiej do niej nie dopuścić. I oto spotykamy się

¹³kursa — dziś popr. forma D. Im: kursy. [przypis edytorski]

z bardzo ważnym i interesującym ruchem, zwanym niezupełnie trafnie neo-maltuzjanizmem, lub też ściślej „regulacją urodzeń”, do którego różne kraje odnoszą się rozmaicie, zależnie od swoistych potrzeb i zabobonów. Mówi się bowiem bezmyślnie o „polityce populacyjnej”, nie zastanawiając się, że inaczej przedstawiać się muszą jej potrzeby w kraju, który np. jak Francja okazuje skłonność do wyludnienia, a inaczej w kraju, który jak Polska cierpi na przeludnienie; inaczej w kraju, który ma ekspansję kolonialną, inaczej w kraju, który nadmiar ludności wypływa przez emigrację i traci ją na zawsze, jeżeli nie w pierwszym pokoleniu, to w dalszych. Toteż pod eufemicznym mianem „polityka populacyjna” kryje się po prostu najczęściej militarizm i „mięso armatnie”. Ale i kwestia „armatniego mięsa” zmienia się zależnie od warunków wojny. Przyszła wojna — o ile jest do pomyślenia, aby Europa do tego masowego samobójstwa dopuściła! — będzie wojną przemysłową, naukową, chemiczną, bakteriologiczną; nie ilość mięsa armatniego będzie w niej zapewne rozstrzygać. Przy tym wzgląd nader ważny: gdyby nawet nadmiar ludności konieczny był dla celów wojny, to znowuż nadmiar tej ludności, potrzeba nowych terenów ekspansji, zwiększona prężność populacyjna stwarzają ciasnotę, pchającą do sięgania po nowe rynki, wymagającą upustu krwi. Stąd można powiedzieć, że nadmiar materiału ludzkiego potrzeby jest dla wojny, którą... sam stwarza. Czy może być bardziej barbarzyńskie głupstwo? Regulowanie zatem przyrostu ludności, o którym wszędzie jest coraz głośniejsze, byłoby potężnym czynnikiem pacyfistycznym. Obrońcy ruchu „regulacyjnego” w Niemczech z naciskiem akcentują tę jego rolę.

Na to wystarczyłoby jedno: wzajemne porozumienie się dla dobra ludzkości. Tak jak jest, jedni boją się komicznie płodności drugich: Francuzi Niemców, Niemcy Polaków i w ogóle Słowian... Ale i tutaj panuje bezmyślność. Każdy kraj liczy urodzenia i przechwala się ich statystyką; i my chwalimy się ową „króliczą płodnością” Polaków, o której Niemcy mówią z nienawiścią, a Francuzi z rozczuleniem. „*Parlez nous de voire natalité* — Mów pan nam o waszej liczbie urodzeń” — mówił do mnie w czasie mego literackiego objazdu po Francji każdy stary generał, ściskając mi dłonie z rozczuleniem i podziwem, tak jakbym ja był bożkiem płodności we własnej osobie; ale nie pytano o *notre mortalité*, o śmiertelność tych młodych królicząt! Otóż, nie ulega wątpliwości, że nawet z punktu militarnego gorszym interesem jest, jeżeli w rodzinie robotnika, tłoczącej się w dusznej izbie, urodzi się ośmioro dzieci, z których pięcioro umrze, a troje wychowa się w nędzy, niż gdyby się urodziło troje, aby się chować dobrze i zdrowo. Faktem zaś statystycznie stwierdzonym jest, że wzrostowi urodzeń towarzyszy wzrost śmiertelności, ze spadkiem zaś urodzeń spada śmiertelność i podnosi się zdrowotność. Wzrost zatem urodzeń nie jest bynajmniej wykładnikiem istotnego przyrostu ludności, nie mówiąc już o jej wartości fizycznej i moralnej.

Toteż od dawna zaczęto zwracać uwagę na katastrofalne skutki nieograniczonego płodzenia w domu ubogich ludzi, zwłaszcza w mieście. Ta nadmiernie liczna rodzina stwarza nędzę, brud, ciasnotę, ciemnotę, bezwstyd, bo wszystko gniecie się razem, co wiedzie prostą drogą do jakże częstego w tych warunkach kazirodztwa; zdziczenie moralne, beznadziejność, rozpacz, niemożność myślenia o poprawie doli, bo połogi, chryzycy, choroby i śmierci zjadają wszystko. Dom staje się piekłem, żona w trzydziestym roku życia schorowana, stara kobieta, odpychająca fizycznie; mąż ogłuszony piskiem bachorów, widzący żonę albo w ciąży, albo karmiącą, albo i jedno i drugie razem, ucieka z domu do szynku, gdzie pijaństwem pogłębia jeszcze nędzę rodziny. O potrzebach kulturalnych nie może być mowy; wytwarza się stan beznadziejności i zniechęcenia, podatny dla wszelkich złych podszeptów. Tak przedstawia się w rzeczywistości to nieograniczone błogosławieństwo boże, któremu przeciwdziałanie uważa wielu jeszcze za „rozbijanie rodziny”! Tymczasem nie ma gorszego wroga rodziny niż nadmierna płodność. A z tym bezlikiem dzieci co się dzieje? Chowa się to w nędzy, w brudzie, trawione chorobami, bez opieki, bez czułości, aby pierwszą szkołą życia zaczynać w rynsztoku. Nie ma mowy o staranniejszym wychowaniu, o radości życia; te dzieci ulicy aż nazbyt wcześnie pomnażają nieraz kadry prostytucji lub zbrodni. Zresztą ogromna część ich umiera; tak że ta nadprodukcja dzieci, sprawiwszy wszystkie klęski przeludnienia, w rezultacie nie daje nawet upragnionego przyrostu ludności w mierze, która by wyrównała te klęski.

(Jak bardzo to niepożądane rozmnażanie zaczyna światu dolegać, niech zilustruje proces pewnego lekarza, który niedawno odbył się w Austrii. Okazało się, że 500 mężczyzn

poddało się, na drodze operacyjnej, sterylizacji, która, nie pozbawiając ich męskości, czyni ich bezpłodnymi. Wyobrażam sobie, jak muszą być poszukiwani u kobiet! To nad-mężczyźni, samce wyższego typu, to może przyszła arystokracja ludzkości!

Cóż dopiero mówić o dzieciach nieślubnych! Tu trzeba dodać jeszcze opuszczenie i zabobon okrywający je hańbą. Toteż, co się dzieje z dziećmi w wypadkach, w których matka wytrzyma ciążę do końca? Część ginie z ręki matki — a statystyka dzieciobójstw z pewnością nie wykazuje istotnej ich cyfry! — część ginie zamorzona w rękach „fabrykantek aniołków”, a ten procent, który się odchowuje, zapełnia później w znacznej mierze więzienia.

Zdawałoby się, że, wobec tego bilansu, o ile nawet mogłoby być dla kogoś spornym uprawnienie do przerywania ciąży, o tyle zapobieganie ciąży, regulacji urodzeń, powinny być bezspornie uznane za jedną z palących potrzeb społecznych. Tak by się zdawało; i dlatego jedną z najciekawszych rzeczy jest śledzić to zagadnienie, od tak dawna rozważane przez ekonomistów na tle trudności, z jakimi musi się zmagać, aby sobie wywalczyć zwycięstwo. Wszystkie ciemne moce podały sobie ręce, aby przeszkadzać świadomej myśli ludzkiej w walce z siłami przyrody, ze ślepym żywiołem płodności.

Ta właśnie idea od kilkudziesięciu lat zaczyna sobie w świecie zdobywać coraz liczniejszych wyznawców. *Neo-maltuzjanizmem* nazwano ją od tak głośnej w swoim czasie teorii Malthusa. Ten Malthus, profesor ekonomii i pastor, miał szczęście! Teorię jego skrytykowano, przepisy jego wysmiano, mimo to jego imię przyłgnęło do sprawy, sławny jest tak jak Hamlet! Co więcej, on, który zawsze był wrogiem środków zapobiegawczych (zaledwie zresztą za jego czasu znanych), stał się w sto lat później ich patronem; pocziwiwa w grobie by się przewrócił, gdyby wiedział, że jego nazwisko firmuje różne „*Malthus-ovula*” etc.

Odkrycie Malthusa (1766–1834) było bardzo proste, istne jajko Kolumba. Doszedł on, że przyrost ludności odbywa się szybciej niż przyrost środków żywności, że wskutek tego grozi światu w pewnym określonym przeciągu czasu przeludnienie, z którym natura radzi sobie na swój sposób: za pomocą głodu, zarazy i wojen. Przyrost ludności oznaczył postępek geometrycznym (1, 2, 4, 8, 16 etc.), gdy przyrost środków żywności odbywa się, jego zdaniem, w postępie arytmetycznym (1, 2, 3, 4, 5 etc.). To mówił jako ekonomista; natomiast jego środki zaradcze trąca pastorem: zalecał mianowicie, zwłaszcza biednym, aby późno wstępować w związki małżeńskie, dopiero wtedy, kiedy mogą zapewnić byt rodzinie, do tej zaś pory aby żyli w czystości. O ile co do teorii Malthusa ekonomiści uznali, że, w zasadzie słuszna, ujmuje jednak rzecz zbyt prostolinijnie, o tyle nad jego radami przeszła ludzkość, o ile się zdaje, do porządku dziennego lub nocnego.

Seks, Miłość, Asceta

Ruch ten odżył w ostatniej ćwierci XIX stulecia w innej postaci. Uznając Maltusową groźbę przeludnienia, uznając zwłaszcza upośledzenie społeczne, jakiego nadmiar urodzeń jest przyczyną w klasach uboższych, *neo-maltuzjanizm* zmodyfikował jedynie jego środki zaradcze. Nie żąda od swoich wyznawców celibatu ani czystości; radzi jedynie, aby rozłączyć to, co natura złączyła; mianowicie rozdzielić prawo do miłości od przymusu płodzenia i rozmnażania się. Jedno to szlachetny popęd, potrzeba wraz ciała, duszy i serca, która u człowieka w formie miłości wyrosła o wiele ponad naturalną funkcję rozrodczą, drugie to funkcja, którą człowiek inteligencją swoją i wynalazczością może i powinien opanować. Czyli *zapobieganie ciąży*, albo tzw. *regulacja urodzeń*.

Zdawałoby się, że idea tak słuszna i tak prosta powinna trafić wszystkim do przekonania. Tymczasem przeżyła ona swój okres walki — bynajmniej zresztą nie skończonej — miała nawet swoich męczenników! Ida Cradvoch, pierwsza pionierka regulacji urodzeń w Ameryce, zaszczyta przez obłudę społeczną, skończyła samobójstwem. I tutaj obserwujemy bardzo znamienne zjawisko obłudy: mianowicie neo-maltuzjanizm od dawna przyjął się po cichu w praktyce w klasach zamożniejszych; i oto te właśnie klasy we wszystkich krajach patronują zwalczaniu go, w imię tradycji, w imię patriotyzmu, religii etc., w klasie uboższej. Czyli, im kto więcej mógłby dzieci wychować, tym ma ich mniej; a im kto mniej może ich wychować, tym bardziej mu się narzuca wszystkie te piękne obowiązki! Walka ta toczy się wedle stopnia uświadomienia i siły; niesłuchanie zacięta jest w Niemczech, gdzie z jednej strony tak potężny jeszcze nacjonalizm, militarizm, imperializm, kapitalizm i zabobon chcą skłonić robotnika do nieograniczonego płodzenia, z drugiej strony proletariatus coraz bardziej uświadamia sobie tę obłudną grę. Zresztą

pod tym względem widzimy fantastyczne rozbieżności: neo-maltuzjanizm czyni ogromne postępy w Anglii, związki neo-maltuzjańskie i ich poradnie dla kobiet uznane są oficjalnie za *instytucje dobra publicznego* w Holandii, gdy ten sam prąd ścigany jest grzywnami i więzieniem we Francji¹⁴ etc. Do nas — mówię o szerokim ogóle — nie dochodziły echa tychże starć i tych haseł prawie zupełnie; masy żyją u nas pod tym względem w rajskiej naiwności: dlatego uważam za właściwe zająć się pokrótce owym ruchem i jego sprawami w tym cyklu artykułów. Bo mało jest w istocie kwestii, które by w prosty i szybki sposób mogły sprowadzić donioślejsze społeczne przemiany.

LWY UGŁASKANE

Przerwijmy na chwile nasze maltuzjańskie rozważania, aby wrócić do sprawy przerywania ciąży i do Komisji Kodyfikacyjnej: ostatecznie ona, nie kto inny, rozstrzyga o prawnym kształcie całej sprawy. W jednym z poprzednich artykułów porównałem Komisję Kodyfikacyjną do jaskini lwów: istotnie cóż może być bardziej przerażającego, niż ten gabinet, z którego raz po raz słychać przeciągły ryk: „pięć lat ciężkiego więzienia, dziesięć lat ciężkiego więzienia”... Gabinet ten wydaje się czasem tak szczelnie zizolowany¹⁵ od życia, iż — rzekłbyś — nie przenikają się doń jęki ani argumenty; ulubione formuły kodeksu karnego stają się tak odruchowe, że nawet kiedy lew ziewa lub przeciąga się po poobiedniej drzemce, mimo woli wychodzi mu z gardzieli chrapliwy dźwięk: „Pięć lat ciężkiego więzienia”.

I zważcie ten kontrast: osobiście są to najmiłsi, najlepsi ludzie, z których żaden muchy by nie skrzywdził, złodziejowi dałby jeszcze w łapę parę groszy, porzuconą dziewczynę pocieszył, stroskaną matkę poklepał po brzemienu... Ale biada, kiedy się zejdą razem jako Komisja!

Tak sobie myślałem. Ale w Polsce wszystko jest jakieś dobroduszne. Ta dobroduszość łagodzi nawet najdziksze prawa. Przekonałem się o tym osobiście. W pewnym wysokim miejscu spotkałem członka Komisji Kodyfikacyjnej, prof. Makowskiego. Przypomniałem sobie moje płochy żarciki i uczułem się trochę nieswój. Ale znakomity uczony sam mnie przywołał życzliwym skinieniem i powiedział:

— Miło mi poznać panu, że w drugim czytaniu swego projektu Komisja znacznie zmodyfikowała artykuły, przeciw którym pan walczy. Niech pan zajdzie do mnie, dam panu odpis.

Idę, lecę, i dostaję ten urzędowo sporządzony odpis jeszcze nie ogłoszonego nowego projektu. Czytam:

Art. 141. Kobieta, która płód swój spędza lub pozwala na spędzenie przez inną osobę, ulegnie karze więzienia do lat 5.

Art. 142. Kto za zgodą kobiety ciężarnej płód jej spędza lub jej przy tym udziela pomocy, ulega karze więzienia do lat 5...

Patrzę zdumiony na mego gospodarza. Wyraz jego twarzy wydaje mi się okrutny. Lew, wyposzczony lew! Grzywa jeży mu się groźnie. Choć nie jestem kobietą ani jej pomocnikiem, łydki zaczynają się trząść pode mną. — Ależ, panie profesorze, bąkam, to wszystko po staremu?...

— Niech pan czyta dalej, uśmiechnął się dostojnik z odcieniem filuterności.

Czytam dalej:

— Art. 142 a. Sprawca czynu z art. 141 i 142 nie ulega karze, jeżeli zabieg był dokonany przez lekarza i przy tym był konieczny ze względu na zdrowie matki, dobro rodziny lub ważny interes społeczny.

Prawodawca zerka na mnie z uśmiechem, jakby mówił: „A co?”

W istocie, małeńka klauzula, nawet nie osobny artykuł, tylko wstydlive „a”; paragrafik nie stwierdzający prawa do niczego, tylko mówiący półgębkiem, że ten i ów „nie

¹⁴związki neo-maltuzjańskie i ich poradnie dla kobiet uznane są oficjalnie za instytucje dobra publicznego w Holandii, gdy ten sam prąd ścigany jest grzywnami i więzieniem we Francji — Prawo z d. 31 lipca r. 1920 orzeka, że będzie karany więzieniem od miesiąca do sześciu i grzywną od 100 do 5000 fr., kto uprawia propagandę przeciw zapłodnieniu, kto ogłasza i sprzedaje środki mające zapobiec ciąży, choćby nawet właściwości ich w tej mierze były fikcją i kłamstwem. [przypis autorski]

¹⁵zizolowany — dziś: odizolowany a. izolowany. [przypis edytorski]

uleganie karze” — *snac*¹⁶ taka redakcja była potrzebna dla zamaskowania tak rewolucyjnej zmiany – ale w istocie klauzula otwiera niezmiernie szeroki horyzonty. To, co dotychczas było bezwzględna zbrodnia, od czego nawet pewni lekarze się odzegnawali, nie uznając możliwości żadnych „wskazań społecznych”, to staje się obowiązującym prawem!

(Wspomnieć należy, że i wewnętrzny „układ sił” w Komisji Kodyfikacyjnej zmienił się obecnie. Gdy wprzód odosobniony był b. prezes Sądu Najwyższego p. Mogilnicki, który w swoim radykalizmie uchodził w oczach innych członków za „bolszewika”, obecnie odosobniony został ze swoim *votum separatum* klerykalny prof. Makarewicz).

Patrzę na mojego lwa z podziwem. To pięknie, tak przezwyciężyć wiekowe krwiożercze nałogi!

Ale mam jeszcze pewne wątpliwości.

— Ślicznie, powiadam, o nic innego nie chodzi; ale jak to będzie wyglądało w praktyce? Kto będzie orzekał o tym dobru rodziny lub interesie społecznym?

— Ha, to się pokaże, odpowiada prof. Makowski. To nie jest rzeczą kodeksu karnego. Kodeks daje ramę; rzeczą społeczeństwa będzie stworzyć odpowiednie urządzenia, nadać temu artykułowi właściwą interpretację. Zapewne dojrzałe narady odpowiednich czynników zdecydują, czy do rozstrzygnięcia powołany będzie lekarz czy sędzia, czy — jak chcą inni — jakaś mieszana komisja.

Wszystko to, w istocie, nie jest tak proste. Prawo winno być jasne i stanowcze. Tymczasem tu na włosku wisi, czy ktoś jest zbrodniarzem, czy uczciwym i użytecznie działającym człowiekiem. A kto ma o tym rozstrzygać? Sędzia, który będzie sądził? To trochę za późno, gdyż w tej delikatnej sprawie sam fakt włóczenia po sądach jest najdotkliwszą karą, bez względu na zasądzenie czy uwolnienie. Może rzeczoznawca? Ale jakże tu mogą być rozbieżne zapatrywania, jak trudna to kwestia! Jeden uzna, że matka pięciorga dzieci, żona bezrobotnego, nie bardzo mająca co do ust włożyć, nie powinna rodzić szóstego dziecka; inny, zahipnotyzowany „polityką populacyjną”, świętością macierzyństwa, nie uzna tego poglądu. Miecz prawa nie może wisieć na tak cienkiej nitce względności sądów ludzkich! Aparat jakichś „mieszanych komisji” też nie wiadomo, czy okaże się skuteczną w działaniu...

Ogółem sądzę, że ten nowy projekt jest raczej czymś przejściowym. Jest bardzo postępowy jak na to, że grunt był u nas i zupełnie w tej kwestii nieprzygotowany, a społeczeństwo bardziej nieśmiałe od samych prawodawców; ale w gruncie redakcja ta z pewnością jest tylko przejściem do zupełnego usunięcia szkodliwego paragrafu, ku czemu życie prze wszędzie. Zwierzam się z tych moich myśli czcigodnemu prawodawcy. Mam wrażenie, że jest mojego zdania, że uważa to również za twór przejściowy. Bądź co bądź, w tej nowej postaci, kodeks zostawiałby społeczeństwu niemal pełną swobodę regulowania tej sprawy, gdy dotąd artykuły i paragrafy waliły się jak kłoda pod nogi wszelkim usiłowaniom w tej mierze.

Jest to tym godniejsze uznania, że prawie nikt tego od Komisji Kodyfikacyjnej nie żąda! Opinia milczy. Kobiety zwłaszcza okazują zadziwiającą obojętność, w chwili gdy się rozstrzyga, czy połowa ich będzie ogłoszona za zbrodniarki. I ta nasza bierność budzi dziwne refleksje, zwłaszcza jeśli ją porównać na przykład z zaciętą walką, jaka się toczy między opinią a ustawą w Niemczech, gdzie publiczność urządza owacje skazanym lekarzom! W pewnym takim wypadku, kiedy lekarz, po odsiedzeniu paroletniej kary, wracał do domu, już na parę stacji przed miejscem zamieszkania urządzono mu kwiatową owację, miasto było iluminowane, a wieczorem odbył się uroczysty bankiet. Tam osławiony § 218 jest przedmiotem ciągłego buntu. U nas, kobiety ze sfer ubogich, mimo że tak samo mordowane i dziesiątkowane analogicznym paragrafem, milczą: nie mają śmiałości mówić. I Komisja Kodyfikacyjna, trzeba to podnieść, robi to, czego żadna prawie kobieta od niej nie żądała!

W ogóle nikt niczego od niej nie żąda! Komisja Kodyfikacyjna sama jest zdziwiona tą apatią ogółu, apatią, która do pewnego stopnia utrudnia jej pracę. Umyślnie ogłasza Komisja Kodyfikacyjna drukiem każdorazową redakcję swego projektu, aby wywołać opinie, sądy, krytyki, i wedle nich się orientować: otóż nie wywołuje nic; ogół bezmyślnie czeka, jakimi prawami obdarzy go tych kilku panów. Dość powiedzieć, że w chwili gdy tworzy

Naród, Polska, Prawo

¹⁶*snac* (daw.) — widocznie, zapewne, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

się nasz nowy kodeks, tak zasadnicza rzecz jak kara śmierci, tak pasjonująca dla całego cywilizowanego świata, u nas nie wywołała żadnej akcji, żadnych dyskusji! I doczekaliśmy się tego niezwykłego widowiska, że — jak słyszę — Komisja Kodyfikacyjna sama z siebie usuwa karę śmierci, mimo że też nikt tego od niej nie żądał! Przynosi to zaszczyt Komisji Kodyfikacyjnej, ale nie przynosi zaszczytu społeczeństwu...

Spółeczeństwo nasze ma dość naiwny stosunek do prawa. Może dlatego, że nie mieliśmy tak długo własnych praw, że rządziły nami prawa obce, narzucane nam, tworzone daleko gdzieś w obcych stolicach, nawykliśmy uważać prawo za jakiś dopust boży, czy za jakiś święty dekalog, gdy to są po prostu ustawy, które my, ludzie, tworzymy sobie dla naszego ziemskiego porządku, nad którymi można dyskutować, starać się je zmienić, krytykować je. Zwłaszcza dziś i zwłaszcza u nas.

Stary Montaigne, zastanawiając się nad względnością pojęć prawnych, czyni słynną uwagę, że to, co jest „zbrodnią z jednej strony rzeki, może być prawem po drugiej stronie rzeki”. Ale nigdy to tak bardzo nie było prawdą jak dziś, w zakresie ustawodawstwa regulującego sprawy seksualne. Dosłownie zbrodnia po jednej stronie rzeki staje się prawem lub cnotą po drugiej. Wskazaliśmy, że to samo, co jest we Francji ścigane więzieniem — propaganda środków zapobiegających ciąży — uznano w Holandii za *rzecz użyteczności publicznej*. I nierzadko w przestrzeni istnieją te kontrasty, ale i w czasie. To, co było zbrodnią w zeszłym roku, przestaje nią być w następnym; tym samym ci, których dosięgnął wczoraj miecz prawa, stają się wedle dzisiejszych pojęć ofiarami zabobonu. Tak na przykład projekt Komisji Kodyfikacyjnej usunął już artykuły dotyczące homoseksualizmu. Z dnia na dzień zbrodnia przestanie być zbrodnią...

Ale tutaj małeńka uwaga. I pod tym względem spotyka się dziwne nieporozumienia. To, że kodeks usuwa jakiś paragraf, to nie znaczy bynajmniej, że jakąś rzecz pochwała lub, broń Boże, zaleca. Uznaje tylko po prostu swoją ingerencję za bezsilną, lub — co więcej — za szkodliwą; albo też uznaje, że uganianie się za pewnymi przestępstwami — np. sodomia — jest poniżej godności prawa. Tak samo zniknął z nowego projektu paragraf o cudzołóstwie, które jeszcze w pierwszej redakcji było karane rokiem więzienia!!! Kodeks zostawia regulowanie tych spraw religii, opinii, obyczajom, słowem delikatniejszym od paragrafu czynnikom. Dlatego też wydaje mi się dziecinne rozumowanie pewnego wiceprezesa sądu apelacyjnego, który utożsamia ewentualną niekaralność przerywania ciąży z zachętą do tego czynu, i obawia się, że to się odbije katastrofalnie na moralności. Cóż za dziecinstwo! Czyż to, że nowy kodeks usuwa np. kary za sodomie, znaczy, że wszyscy czekamy do tego momentu, aby się do niej rzucić? Czy to znaczy, że wtedy p. wiceprezes Apellacji natychmiast pobiegnie za miasto, uklęknie przed pierwszą spotkaną krówką albo kózką i przysięgnie jej wieczną miłość? Fe, panie wiceprezesie...

Co do nas, sądzimy, że w tych sprawach obyczajowych kodeks nie ma wpływu na życie. Czy paragraf karzący przerywanie ciąży będzie czy nie będzie istniał, nie zmieni to w niczym biegu rzeczy; o tyle chyba, że obecnie istnienie paragrafu śmiertelnie pogarsza warunki, w jakich przerywanie ciąży się dokonywa. W Niemczech, gdzie te paragrafy nie tylko istnieją, ale gdzie się je — przy równoczesnym srożeniu się denuncjacji — bezwzględnie wykonywa, obliczają lekko roczną ilość sztucznych poronień na milion, przy czym *do czterdziestu tysięcy kobiet rocznie ginie* w rękach partaczy. Czy to się owemu p. sędziemu wydaje tak idealne i godne naśladowania?

Jesteśmy zatem świadkami dziwnych rzeczy. Istne trzęsienie ziemi w pojęciach prawnych. Wala się wiekowe mury zabobonu i okrucieństwa. I niech mi nikt nie gada, że to upada moralność; to nie ma nic wspólnego z moralnością; padają tylko kanony przekazywane sobie z pokolenia w pokolenie przez beźmyślność i obłudę. Nigdy nie dostaliśmy ostrzejszej lekcji na temat względności prawa. A zważmy: my jesteśmy w położeniu wyjątkowym, jak nikt inny możemy korzystać z tych lekcji: my właściwie nie mamy jeszcze ustaw, żyjemy w prowizorium prawnym, dopiero tworzymy nasze prawo; kiedyż jak nie teraz mamy o tym wszystkim mówić? Toteż dla przyszłego historyka obyczajów ciekawe zaiste będzie przejrzeć np. numery pism kobiecych i sprawdzić, czym się zajmowały kobiety wówczas, gdy się toczyła walka o ich śmierć i życie, o ich cześć i hańbę.

A oto jeszcze jeden przyczynek do prawniczej „teorii względności”. W chwili gdy piszę te słowa, otrzymuję list z Tallina, stolicy Estonii. Píše mi pani

ministrowa Libicka, małżonka naszego posła w Estonii: Śledząc z zainteresowaniem pańską akcję o zmianę ustawodawstwa karnego w sprawie przerywania ciąży, spieszę podać panu do wiadomości, że prawodawstwo Estonii, kraju, w którym obecnie przebywam, reguluje to zagadnienie od marca 1929 w sposób zbliżony do pańskiego stanowiska.

W Kodeksie karnym, ogłoszonym w „Dzienniku Ustaw” Nr 56, z dnia 20 czerwca 1929, § 193 mówi:

„Matkę winną umyślnego przerywania ciąży po upływie więcej niż trzech miesięcy od chwili poczęcia, karze się aresztem nie powyżej sześciu miesięcy”.

Zabieg ten do trzech miesięcy jest prawnie dozwolony i szeroko stosowany, przy czym prawodawstwo przewiduje wykonywanie zabiegu przez osoby uprawnione i karze surowo nadużycia.

Widzimy zatem, że mała Estonia (a Norwegia, o ile przejdzie wnioski lekarzy norweskich, przyłączy się do niej) nie oglądała się na to, czy jej ustawy zgodne są z zabobonami „Europy”. *Tworzy swoje prawa dla siebie*, i nie chce poświęcać życia i zdrowia swoich obywateli dla chimery beznadziejnie ściganej przez obłudne europejskie kodeksy. W każdym razie, wytrąca ona ten ulubiony argument, że żadne państwo europejskie etc. Toteż przekonany jestem, że omówiona tu przeze mnie zmiana w projekcie naszej Komisji Kodyfikacyjnej wiedzie nas ku temu, czego od dawna domagają się rozum i ludzkość.

„BŁOGOSŁAWIENSTWO” CZY PRZEKLEŃSTWO?

Wspomniałem o walce, jaką społeczeństwo toczy w Niemczech przeciw osławionemu paragrafowi 218. Mam w tej chwili w ręku świeżo wydaną książkę propagandową Credego pt. *Frauen in Not* ze znamieną ryciną tytułową: na krwawo-czerwonym tle, rysuje się złowrogo olbrzymi czarny paragraf, a na nim, jak na krzyżu, przybita doń gwoździami kobieta. Na postumencie paragrafu — napis: 218. Książka ta to zbiór spostrzeżeń lekarza, ujętych w formę obrazków z życia: każdy obraz ukazuje z innej strony okrucieństwo i szkodliwość paragrafu, każdy kończy się tym, że § 218 musi zniknąć. Wspominam o tym dlatego, że jest to sprawa na wskroś międzynarodowa: straszenie jednego narodu płodnością drugiego jest nie najmniejszą przeszkodą do ułożenia sąsiedzkich stosunków.

Ten sam straszak — mnożność Słowian — jeszcze wyraźniej występuje w Niemczech w innej walce, tej, którą czynniki rządowe prowadzą przeciw „regulacji urodzeń”. A walka ta jest w Niemczech nader znamienna: mimo że bynajmniej nie grozi Niemcom, jak Francji, wyludnienie, sfery rządzące dążą wszelkimi sposobami do utrzymania nadmiaru płodności.

Niemiec

Niemcy są bardzo płodne; nie tak jak Polska, ale aż nazbyt wystarczająco. Rozgoryczenie powojenne, nędza mieszkaniowa, trudne warunki życia, wszystko to sprawia, że w ostatnich czasach wzmógł się tu prąd „regulacji urodzeń”, tak zwycięsko zdobywający teren od wielu lat w Anglii, przedtem zdławiony w Niemczech „dryllem” patriotyczno-wojskowym. Ale i dziś ruch ten jest nienawistnym rządzącym czynnikiem. Kapitalizm chętnie widzi nadmierną podaż robotnika, co obniża jego cenę i zdaje go na łaskę i niełaskę kapitału; militarystyka — owo *der Kaiser braucht Soldaten*¹⁷ — wierny jest tradycjom Fryderyka II, który poddanych uważał za swój „wielki zwierzynek”; wszystko to nadaje przykazaniu „rozmnażajcie się!” pozory patriotyczne, obywatelskie, społeczne. Przeciwstawia się temu uświadomiona coraz bardziej klasa pracująca, nie biorąc się na lep tych słów, których cenę zapłaciła zbyt świeżo i zbyt obficie swoją krwią i męką. „Gebärstreik” — strajk rodny — tak nazywają sami zwolennicy „regulacji” swoją akcją.

Propagowanie płodności wzmogło się w Niemczech z początkiem wojny. Powstały ligi agitujące za maksymalnym przyrostem ludności, aby zapełnić luki wyrwane przez kule armatnie. „A ile wy macie dzieci?” odpowiadają z ironią szanownym protektorom płodności szermierze „regulacji”. I argument ten jest trudny do zbitcia, bo faktem jest,

¹⁷*der Kaiser braucht Soldaten* (niem.) — cesarz potrzebuje żołnierzy. [przypis edytorski]

że te właśnie zamożne sfery uprawiają „neo-maltuzjanizm” od dawna i mają ilość dzieci znikomą. Toż samo odpowiadają w Niemczech szermierze regulacji lekarzom, którzy w imię patriotyzmu wzbraniają się uświadamiać matek co do środków przeciw zapłodnieniu. „A ile wy macie dzieci, panowie lekarze?” pytają. I w istocie, statystycznie jest stwierdzone, że lekarze stanowią klasę, która ma najmniej dzieci. (Coś około półtora dziecka na lekarza). I toczy się zacięta walka: zwolennicy „regulacji” agituja za pomocą broszur, odczytów, uświadamiając coraz szersze sfery, zdzierając maski obłudy społecznej, grożąc wręcz bojkotem lekarzom, którzy się wzbraniają pouczać kobiety w tej mierze. Policja tępi odczyty i zgromadzenia; sądy nie zawsze mogą uderzyć wprost, ale konfiskują uświadamiające broszury pod pozorem... pornografii. Mimo to akcja osiąga skutek: liczba urodzeń w Niemczech spadła w ostatnich czasach znacznie. I śmiertelność dzieci również, prawie w tym samym stosunku.

Nasza walka ta musi niezmiernie interesować: „regulacja urodzeń” to program pacyfizmu, uznania praw innych narodów, zgodnego współżycia ras; hasło nieograniczonego płodzenia to imperializm, to odwet, to przyszła wojna. Dzień, w którym kobieta polska porozumiałaby się z niemiecką co do „demobilizacji macic”, byłby ważnym dniem dla pokoju ludzkości: może ważniejszym od wszystkich szacherek genewskich. Neo-libystratyzm...

A teraz kilka słów o samej kwestii. Ciekawe byłoby zważyć, skąd pochodzi zabobon licznej rodziny. To pewna, że ten kult, który przerodził się w bezmyślnie powtarzaną formułę, ma swoje początki niezmiernie dawne, w każdym zaś razie zrodzone ze stosunków zupełnie innych niż dzisiejsze. Kiedy ziemi było pod dostatkiem, a brakło rąk do jej uprawy, kiedy w ogóle wszelka praca była tylko ręczna, kiedy ciągle wojny, krwawe pomsty, wycinanie w pień, były świętym prawem i chlubą, kiedy choroby i zarazy dziesiątkowały ziemię, a przeciętny wiek człowieka był o połowę krótszy niż dzisiaj — wówczas niewątpliwie trzeba było zapełniać te luki masą świeżego mięsa. Kiedy rodzina była jedyną komórką organizacyjną, rękojmnią znaczenia i bezpieczeństwa jednostki, wówczas, rzecz prosta, powstały owe pojęcia gloryfikujące liczne potomstwo. Stąd owe błogosławieństwa biblijne: „rozmnożę cię jako piasek na dnie morza” etc. Dziś liczna rodzina od dawna znaczy u biedaków nędzę, upośledzenie, niewolę, chorobę, śmierć, egzystencję sprowadzoną do potrzeb bydłujących. Wyraz: stan „błogosławiony” stał się krwawą ironią.

Mimo to, uświadomienie ma do zwalczania rozliczne przeszkody. Do wspomnianych czynników przyłącza się religia ze swym upartym konserwatyzmem i pasją utrudniania życia, aby skierować spojrzenia ludzi na tamten świat, podnosząc rolę tych, którzy mają klucz od jego szczęśliwości. Może gra tu rolę i interes kleru, który, jak wspomniałem, wiąże się nie tylko z przyrostem, ale z „obrotem” ludności... Bądź co bądź, są okolice — Bawaria, Flandria — w których księża sami popierają „regulację urodzeń”; stwierdzili bowiem, że chłop mający niewiele dzieci jest konserwatywny, gdy chłop sproletaryzowany zbyt licznym potomstwem staje się wywrotowcem. Nie wiem, jakie motywy utwierdzają lekarzy niemieckich (90 procent lekarzy!) w ich zaciętym oporze wobec ruchu „regulacyjnego”: czy fałszywie pojęty patriotyzm, czy może też podświadome poczucie zawodowe, że jednak każde przychodzące na świat nowe dziecko to pacjent, i to podwójny: raz gdy się rodzi, drugi raz gdy rychło umiera, no i po drodze, kiedy choruje? Ale najdziwniejsze rzeczy powstają, kiedy medycyna robi politykę, albo też zaczyna fuszerować w religii. Tak np. w Warszawskim Tow. Ginekologicznym jeden z lekarzy potępił w każdym wypadku (!) wszelkie sposoby zapobiegające zajściu w ciążę, „bo to jest (powiada) *contra naturam*¹⁸, a wszystko, co jest przeciw naturze, jest z punktu etyki chrześcijańskiej niedopuszczalne”. Zdaje mi się, że cała etyka chrześcijańska jest „*contra naturam*”, i bardzo szczęśliwie, bo wedle natury może być bardzo dobre ludożerstwo, wielożeństwo i inne rzeczy... Ot, co lęgnie się w głowach! I tu jakaś „regulacja urodzeń” kielbi we łbie byłaby wskazana... Nie mówiąc o tym, że chciałoby się zapytać, ile ten lekarz ma dzieci?

Oto próbka zabobonów i trudności, przez jakie przedzierać się muszą nowe pojęcia.

U nas nie mówiło się o tym zupełnie. Wyższe warstwy od dawna, jak wszędzie, uprawiają cichy neo-maltuzjanizm. Ekonomiści piszą dzieła o przeludnieniu. Powaga w tej kwestii, prof. Adam Krzyżanowski, jest fanatykiem antyprzeludnieniowym i wielbicie-

Walka, Wojna, Kobieta

Zabobony, Rodzina,
Dziecko

¹⁸*contra naturam* (łac.) — przeciw naturze. [przypis edytorski]

lem starego Malthusa, którego dzieło wydał w języku polskim. Prof. Zofia Daszyńska-Golińska, w dziele swoim „Zagadnienia polityki populacyjnej”, oświadcza się za regulacją urodzeń i cytuje wielkiego ekonomistę J. S. Milla, który, odmalowawszy klęski nadmiernej rozrodczości, powiada wręcz:

...Cywilizacja jest walką przeciw instynktom zwierzęcym, z których naj-silniejszy zwycięża. Jeżeli nie zwyciężyła instynktu rozrodczości, to dlatego, że tego nigdy nie próbowała¹⁹ na serio... *Nie można spodziewać się postępów moralności, póki licznych rodzin nie będzie się traktowało równie pogardliwie jak pijaństwa...*

Rodzina, Dziecko

Ale to wszystko nie znajdowało u nas żadnego praktycznego wyrazu, nie przenikało właśnie do tych właśnie mas, o które chodzi. A jeżeli w praktyce odbywała się w tych sferach „regulacja urodzeń”, odbywała się ona w sposób najbardziej barbarzyński, najbardziej morderczy, w postaci spędzeń płodu, dzieciobójstwa, morzenia niemowląt i wreszcie przez rychłe wymieranie zbyt licznego potomstwa. Wszystko z jakimż ubytkiem sił, energii, z jakimż sponiewieraniem człowieka, z jaką demoralizacją!

Pierwszy raz bodaj — zdaje się nie bez związku z naszymi felietonami — poruszył to zagadnienie na łamach „Robotnika” dr Kluszyński. Nareszcie robotnik polski mógł się dowiedzieć, że to nadmierne brzemie, to nie jego nędza i troska prywatna, ale wielkie zagadnienie społeczne, którym zajmuje się dziś świat cały. W cyklu felietonów pt. „Znaczenie regulacji urodzeń dla klasy robotniczej” skreślił dr Kluszyński obraz tego ruchu w różnych krajach. Najwcześniej uświadomienie obudziło się, jak wspomnieliśmy, w Anglii; najwcześniej rozumiano tam, że zdrowie kobiet, poziom intelektualny, estetyka domowa, kultura i obyczajność związane są z ochroną kobiety, z ograniczeniem potomstwa i ciąży. Kobieta zbyt płodna żyje życiem czysto zwierzęcym. Sam dr Kluszyński cytuje ze swej praktyki lekarskiej wypadki, i stwierdza, że kobieta zostawiona siłom przyrody — czy „etyce chrześcijańskiej” jak chciał ów natchniony ginekolog — może rodzić do dwudziestu razy i więcej...

Toteż w Anglii nazwano ten ruch „krucjatą przeciw nędzy”. W roku 1922 odbył się w Londynie kongres, w którym wzięły udział najwybitniejsze osobistości — pisarze od Wellsa począwszy — i gdzie uchwalono, że pouczenia o zapobieganiu ciąży powinny być obowiązkiem lekarza. Na kongresie tym przyjęto uchwałę lekarzy, z których 161 z zebranych 164-ch uznało regulację urodzeń za najpilniejsze zadanie. 28 kwietnia 1928 Izba Lordów wezwała rząd do usunięcia zakazu, który wprzód zabraniał instytucjom społecznym uświadamiania kobiet o metodach chronienia się od ciąży.

Nie obeszło się bez małego hołdu złożonego obłudzie: do uświadomienia mają mieć prawo tylko... kobiety zamężne!

Ruch ten osiągnął już ogromne praktyczne rezultaty. W ciągu niewielu lat liczba urodzeń w Anglii spadła z 55 na tysiąc do 18 na tysiąc. Klęska ludnościowa pozorna, bo statystyki stwierdzają, że spadkowi urodzeń towarzyszy spadek śmiertelności przez możliwość lepszego chowania dzieci; nie ma więc tylko daremnego rodzenia i grzebania. Dziecko może być radością, nie klęską, nie katastrofą. Zarazem klasy pracujące w Anglii od dawna ujrzały w tym ograniczeniu płodności najpotężniejszy czynnik podniesienia swego stanu.

Toż samo w Ameryce. Gdy w Ameryce pierwsi lekarze propagujący regulację urodzeń dostawali się do więzienia, a pierwsza pionierka tego ruchu skończyła samobójstwem, kongres w Nowym Jorku w r. 1925, również z udziałem najwybitniejszych osobistości, był znów tryumfem tej idei. Jasno mówią o tym sprawozdania kongresu. Od roku 1880 do 1913 liczba urodzeń spadła z 37 na tysiąc na 19 — w tym samym czasie śmiertelność spadła z 23 na niespełna 10.

Jeżeli gdzie, to u nas kwestia ta zasługuje na najżywszą uwagę. Wyludnienia nie ma się co obawiać; zresztą, jak mówią cyfry, przyrost ludności wywołany taką dziką „polityką populacyjną” uprawianą w głodne i chłodne noce na nędznych barłogach, jest złudny; zaludnia, ale... cmentarze. Zresztą ponieważ Polska jest przede wszystkim krajem rolniczym, na wsi zaś warunki te przedstawiają się nieco odmiennie, chodzi tu głównie

¹⁹próbować — dziś: próbować. [przypis edytorski]

o sfery robotnicze, o biedotę miejską, gdzie racjonalizacja urodzeń stałaby się bezcennym dobrodziejstwem; o dzieci nieślubne, o wszystkie te wypadki, w których, czy to z przyczyny zdrowia matki czy ze wskazań ekonomicznych lub eugenicznych, ciąża i urodzenie dziecka są niepożądane. „Zapobieganie ciąży” zmniejszyłoby statystykę dzieciobójstwa; przywiodłoby do bankructwa przemysł utrapienia niemowląt, ocaliłoby od samobójstwa wiele dziewcząt, podniosłoby warunki życia uboższych rodzin, ich kulturalne potrzeby, równe dzisiaj niemal zeru, gdy wszystko zjada alkohol i wciąż nowe dzieci. Jeżeli gdzie, to u nas akcja taka jest potrzebna. A można ją wszcząć śmiało, choćby dlatego, że nowy projekt kodeksu zajmuje w tej mierze stanowisko zupełnie neutralne; nie ma tu — w przeciwieństwie do niektórych krajów — żadnych przeszkód prawnych. Wiem to nie tylko z czytania projektu, ale wprost z rozmów z naszymi filarami prawa. Nic nie stoi na przeszkodzie, aby w Kasach Chorych, aby przy szpitalach i ambulatoriach, tworzyć poradnie dla kobiet, takie jak istnieją np. w Holandii jako urzędowe instytucje użyteczności publicznej, gdzie by pouczano młode kobiety o sposobach regulowania urodzeń, chronienia się od ciąży i udzielano ewentualnie pomocy lekarskiej przy zakładaniu trwałych środków ochronnych.

Tęgo rodzaju poradnie są tym bardziej potrzebne, że, jak o tym czytelniczki moje aż nadto dobrze wiedzą, nie istnieją środki zapobiegawcze absolutnie pewne. Trzeba w tym indywidualizować; w pewnych klasach wreszcie należy wychowywać kobiety zupełnie nieświadome i nienawykłe do elementarnej nawet higieny. Przede wszystkim zaś trzeba wszczepić pojęcie, że ciąża — to nie jest dopust boży, któremu godzi się z uległością poddać, ale czynnik życiowy, który człowiek powinien rozumem swym opanować. Ta kwestia, obłudnie dotąd osłaniana, musi wyjść na światło dzienne, musi się stać znajoma już młodej dziewczynie jako elementarz jej kobiecej doli.

Nie idzie to tak łatwo. Bardzo inteligentna i wzięta lekarka chorób kobiecych (nie w Warszawie) opowiadała mi, że w czasie podróży po Niemczech rozmawiała z pewnym lekarzem fabrycznym o tej kwestii. Lekarz zwierzył się jej, że od wielu lat zaleca swoim klientom pewien prosty, tani i domowy środek, który, wedle jego doświadczenia, nie zawiódł nigdy. Lekarka mówi mi, co to za środek, i dodaje, że nie był nigdy omawiany w żadnych pismach zawodowych, na żadnych zebraniach lekarskich. „Czemu? — pytam zdziwiony. — Bo jest taki śmieszny... odpowiada mi lekarka. — A pani czy go zaleca swoim pacjentkom? — Nigdy! — Czemu? — Bo taki śmieszny”... odpowiada z zażenowaniem sławna specjalistka, rumieniąc się jak pensjonarka. Oto z jakimi organicznymi trudnościami walczyć musi ta z gruntu drażliwa kwestia.

Jedno nie ulega wątpliwości. Dopóki nauka traktowała tę sprawę półgębkiem, póki to była „causa turpis²⁰”, w większości krajów tępiona przez zmilitaryzowaną ginekologię, dopóty nic dziwnego, że nie znajdowano na nią rady. Skoro, przy przemianie pojęć o płodności, „regulacja urodzeń” stanie się rzeczą użyteczności publicznej, można mieć nadzieję, że nauka rozwiąże nareszcie tę kwestię, że zapobieganie ciąży stanie się nareszcie czymś pewnym i prostym. Wówczas uświadomienie w tej mierze wejdzie w skład wychowania młodych dziewcząt, wówczas spędzanie płodu stanie się barbarzyńskim przżytkiem, dzieciobójstwo i zagładzanie dzieci „na garnuszku” stanie się takim ohydnyim wspomnieniem jak ludożerstwo. Są pewne dane wróżące tę przyszłość, bodaj owe bardzo świeże jeszcze doświadczenia austriackiego lekarza, robione dotychczas na zwierzętach. Lekarz ów stwierdził, że wyciąg z jajnika albo z łożyska, wstrzykiwany podskórnie lub nawet podawany wewnątrznie samicy, czyni ją niezdolną do zapłodnienia na pewien ograniczony przeciąg czasu. Robiono odnośne doświadczenia na królikach, na myszach i na świnkach morskich. Nie ma powodu, aby to samo nie miało się sprawdzić na ludziach. I tu może leży rozwiązanie tej ważnej kwestii socjalnej; to może zmieniliby postać świata w niedalekiej przyszłości. Wszystkie okrutne paragrafy o przerywaniu ciąży stałyby się zbyteczne, człowiek panowałby świadomie nad regulacją swego potomstwa. Wówczas może zaczęłoby się tryumfalne królowanie człowieka. Kwestia materialnych braków złądzi się, człowiek będzie mógł się oddać szlachetniejszym zadaniom. Ujarzmi przyrodę. Maszyna będzie za niego dźwigała ciężary życia. Pokój zapanuje na świecie. Wojny i rzezie staną się mitem takim jak wojna trojańska. A gdyby się okazało z czasem, że ludzi jest

²⁰causa turpis (łac.) — brzydka sprawa; coś, o czym się głośno nie mówi. [przypis edytorski]

zbyt mało, że dzieci rodzi się nie dość, wówczas społeczeństwo znajdzie niechybnie sposoby, aby swą wydajność pomnożyć. Nie karami, ale nagrodami; zachętą, pobudzeniem ambicji. Panna, która urodzi dziecko, dostanie nagrodę cnoty; za bliźnięta — złoty krzyż zasługi. Ojciec czworga dzieci będzie wolny od podatków i otrzyma bezpłatne mieszkanie. Ojciec sześciorga dzieci zostanie senatorem i otrzyma honorowy doktorat politechniki etc. „Polityka populacyjna” przejdzie od systemu kar do systemu nagród; o ileż jej z tym będzie bardziej do twarzy!

Zaledwie pojawiła się pogłoska o odkryciu austriackiego lekarza, już zaczęto dzwonić na alarm. Jedno z berlińskich pism oświadczyło, że „państwo i kościół, z przyczyn religijnych, etycznych i państwowych, sprzeciwi się najenergiczniej jego wprowadzeniu w życie”. Czy może być komiczniejsza enuncjacja? Niech próbują!

(Znamiennie odnoszą się do neo-maltuzjanizmu sowieaty. Miałem w ręku, dzięki uprzejmości rosyjskiego poselstwa, szereg broszur, do których jeszcze powrócę. Stanowisko wobec „regulacji urodzeń” jest tam nieufne: uważają to za burżujską sztuczkę, aby, przez podniesienie dobrobytu robotnika, zmniejszyć jego „napiecie rewolucyjne”... Ale w istocie rząd sowiecki bada u siebie pilnie tę kwestię, którą słusznie uważa za nie dość jeszcze poznaną. Bada z właściwym sobie etatystycznym rozmachem: mianowicie stosuje się tam środki zapobiegawcze — guberniami: jedna gubernia używa tego, inna owego środka, po czym zestawia się statystykę porównawczą wyników).

W konkluzji sędzę, że całą tę sprawę powinny wziąć w ręce kobiety. Czyż może być rzecz, która by bardziej była ich sprawą? Ale jakież rozdzwięk panuje między tym, o czym kobiety piszą, a o czym myślą! Gdyby pisma kobiece były istotnym wykładnikiem życia kobiet i ich zainteresowań, połowa artykułów czcigodnego „Bluszczu” powinna by traktować o środkach przeciw zapłodnieniu...

Niechże więc kobiety otrząsną się z fałszywego wstydu i z niewolniczej apatii. To nie żadna rozpusta, nie żadna zbrodnia, ale wielka kwestia społeczna, która zajmuje dziś obie półkule świata. Jest u nas tyle lekarek, tyle społeczniczek, niechże założą specjalną poradnię w sprawach „regulacji urodzeń”; niech uświadamiają kobiety o środkach przeciw zająsci w ciążę, niech im służą radą, pomocą; niech wreszcie badają kwestię naukowo, niech robią obserwacje, statystyki. Niech przede wszystkim wejdą w styczność z pokrewnymi organizacjami w innych krajach. Niech raz ta sprawa będzie u nas traktowana po ludzku, mniej obłudnie, mniej bezmyślnie, mniej frazesowo. Bo piękna to rzecz wstydlivość niewieścia, ale nie wtedy, gdy się ją opłaca kosztem tylu nieszczęść, niedoli i zbrodni!

ŻYCIE MÓWI...

W następnym felietonie zamykam — na razie przynajmniej — kwestię, którą pozwoliłem sobie tak długo zajmować moich czytelników. Może wyda się komuś, że za długo? — może; co do mnie, zdaje mi się, że sprawa jest dość ważna i — co dziwniejsze! — dość nowa, aby można było jej poświęcić trochę miejsca i uwagi.

Należy tu zanotować, że od czasu jak omawiamy wspólnie tę sprawę — powiadam wspólnie, ze względu na wielką ilość listów i głosów, jakie otrzymuję co dzień — stosunek ogółu do niej zmienił się już bardzo: rzecz, przedtem pokrywana obłudnym milczeniem, obecnie stała się publiczną i palącą kwestią. Przed kilku dniami np. odbyło się zebranie urzędniczek Banku Polskiego, na którym adwokat p. Wiewiórska omawiała zagadnienie przerywania ciąży, i to, o ile wiem, w duchu pokrewnym naszemu stanowisku. Z pism kobiecych jedno przynajmniej przerwało milczenie. „Kobieta współczesna” zamieściła już w tej sprawie parę artykułów i zapowiada głosy działaczek społecznych, publicystek, stowarzyszeń kobiecych.

„Chcemy — pisze *Kobieta współcz.* — dać istotny obraz tego, jak świat kobiecy ustosunkował się do zagadnienia, które chociaż tkwi tak głęboko w życiu, nie należy jednak do spraw, o których mówi się łatwo. Opinia świata kobiecego musi się stać decydującym argumentem dla Komisji Kodyfikacyjnej, a opinia ta nie zadowoli się na pewno żadnym paliatywem i żadnym połowicznym rozstrzygnięciem”.

Rosja

Kobieta, Społecznik

Brawo! To się nazywa mówić... po męsku, chciałem powiedzieć z zastarzałego językowego narowu²¹.

Otóż ja także, przed wyczerpaniem tematu, który starałem się oświetlić z rozmaitych stron, pragnę jeszcze dopełnić szeregu osób, z którymi miałem zaszczyt rozmawiać osobiście. Streszczę opinię ich w krótkości, nie dlatego, abym nie przywiązywał do nich wielkiej wagi, ale dlatego, że zarówno argumenty, jak i poglądy powtarzają się; i nic dziwnego; droga wytyczona przez ludzkość i zdrowy rozum jest tu, z małymi odchyleniami, jedna.

Zacznę od opinii

znakomitego socjologa, prof. Ludwika Krzywickiego:

Prof. L. Krzywicki oświadcza, że jest za jawnością i za prawem do przerywania ciąży; nie zmieni to nic w istniejących stosunkach, a ocali życie i zdrowie wielu kobietom. Nie obawia się dla Polski wyludnienia, ale raczej przeludnienia. Co rok rodzi się 400.000 ludzi, dla których nie ma pracy. Państwa dbają tylko o przyszłego rekruta, nie troszcząc się o resztę. Skoro będzie mniej ludzi, będzie im daleko lepiej. Jest za propagowaniem środków przeciw zapłodnieniu, tak jak się czyni w Holandii. Uważa robienie polityki populacyjnej — i to niedorzecznej — za pomocą kodeksu karnego za absurd i zbrodnie.

Prof. medycyny sądowej, dr Grzywo-Dąbrowski

jest za tym, aby karać jedynie osoby niepowołane do tego zabiegu, albo lekarzy, którzy go wykonywują nie *lege artis*²², dopuszczając się zaniedbania. Poza tym jest za bezkarnością przynajmniej w pierwszych trzech miesiącach. Co do szkodliwości zabiegu robionego we wzorowych warunkach przez lekarza, prof. Grzywo-Dąbrowski nie podziela pesymizmu prof. Czyżewicza, z którym, jak mówi, nieraz polemizował w tej kwestii. „Tak jak dotąd (powiada), minimalna ilość poronień dochodzi do wiadomości sądu; karane są same proletariuszki, inne kobiety nigdy. Robi się w Warszawie przypuszczalnie 20.000 poronień rocznie, masę kobiet umiera; sam sekcjonuję do 200 zwłok kobiet zmarłych na zakażenie krwi, a to jest tylko cząstka. Uważam, że gdyby się uchyliło wszelką karalność, może by to podniosło na jakiś czas ilość poronień, ale na dłuższy dystans nie miałoby znaczenia. W każdym razie, ujemnych skutków zniesienia paragrafu nie da się porównać z katastrofami spowodowanymi co dzień jego istnieniem”.

Karania osób sprowadzających poronienia przy równoczesnej bezkarności matki nie uważa prof. Grzywo-Dąbrowski za słuszne ani za celowe.

Obawiałby się co najwyżej, aby, w razie zniesienia paragrafu, nie zaczęły szaleć publiczne reklamy, anonse. Ale wszak akuszerki ogłaszają się i tak, a ogłoszenia lekarzy reguluje Izba Lekarska.

Adwokat Stanisław Rundo

reprezentował na zjeździe prawników stanowisko Tow. Kryminologicznego, które przyjęło za zasadę żądać niekaralności przerwania ciąży w pierwszych trzech miesiącach (zasada, która od czerwca 1929 r. obowiązuje w Estonii).

Na tym samym stanowisku stoi kryminolog, doktor²³ medycyny i praw, p. *Battawia*.

Adwokat dr Kazimierz Sterling,

podziela nasze zdanie, że kwestia ta zachwaszczona jest przez przestarzałe i błędne myślowe narowy. Polska jest dziś w tym szczęśliwym położeniu, że tworząc nowe prawo, mogłaby się z nich wyzwolić. Argument „populacyjny” jest złudny. Potęga państwa dzisiejszego nie opiera się na gęstości zaludnienia, lecz na zdolności do pracy twórczej. Zwiększać gęstość ludności po to, aby bogaci Niemcy, Francję lub Amerykę tanim, nieszczęśliwym nadmiarem wyzyskiwanego haniebnie proletariatu polskiego nie jest rzeczą godziwą.

Tylko opieka społeczna, danie możliwości wychowania dziecka, podniesienie dobrobytu klasy pracującej, może nawet jakieś ubezpieczenia na wypadek narodzin dziecka, mogą przeciwdziałać przerywaniu ciąży.

Z punktu prawno-lekarskiego błędem jest traktować przerwanie ciąży jako *zabójstwo*: zabójstwo odnosi się do życia ludzkiego, jakim płód od chwili poczęcia jeszcze niewątpliwie nie jest.

²¹ *narów* (tu daw.) — zły nawyk. [przypis edytorski]

²² *lege artis* (łac.) — zgodnie z zasadami sztuki; prawidłowo. [przypis edytorski]

²³ *doktor* — dziś: doktor. [przypis edytorski]

Ze względu na nieprzygotowanie naszego społeczeństwa do rozwiązania tej sprawy, uważa dr Sterling za wskazaną drogę kompromisową, przy czym norma prawna winna być wyrażona w formie pozytywnej, np.:

1) „Matka, winna bądź osobiście, bądź też przy pomocy osoby trzeciej, zabicia swego płodu po upływie trzeciego miesiąca ciąży, będzie karana itd.

2) Tej samej karze ulegnie matka, winna zabicia swego płodu przed upływem trzeciego miesiąca ciąży, o ile zabicie dokonane zostało w tym okresie przez osobę, nie posiadającą dyplomu lekarskiego i nieuprawnioną do pełnienia praktyki lekarskiej.

3) Tej samej karze ulegnie winny zabicia płodu w warunkach, wskazanych w p. 1 i 2 niniejszego artykułu”.

Dr Zofia Garlicka,

która w Warsz. Tow. Ginekolog. wygłosiła obszerny referat o „Wskazaniach społecznych do przerywania ciąży”, jest zdania, że nie da się załatwić tej sprawy mechanicznie paragrafem, ani też wyosobnić jej z całokształtu *opieki społecznej*. W praktyce byłaby za szerokim uwzględnieniem *wskazań społecznych* w przerywaniu ciąży, za robieniem tego zabiegu w publicznych szpitalach na zasadzie orzeczenia komisji, w którą wchodziłby lekarz, sędzia i ktoś z poradni dla matek. Nieprzestrzeganie tych warunków można by karać: wówczas i prawo mogłoby być szanowane, miałyby egzekutywę i poparcie społeczeństwa. Dr Garlicka jest za niekaralnością matki w każdym razie; żąda wreszcie kar na uwodzicieli, uregulowania alimentacji etc.

Prymariusz szpitala, dr H. Altkauffer

życzyłby, aby zabieg przerywania ciąży był dokonywany tylko w szpitalach publicznych, tak aby nie wchodził w grę interes pieniężny lekarza, a to dla podniesienia godności stanu lekarskiego w tej sprawie; zarazem jest za stworzeniem mieszanych komisji złożonych z lekarzy, sędziów i kobiet-społeczniczek. Te komisje opiniowałyby w każdym wypadku, czy istotnie zachodzi poważne *wskazanie społeczne do przerywania ciąży*.

Dr Bronisław Krakowski, dyrektor departamentu opieki społecznej,

jest zdania, aby paragraf karzący przerywanie ciąży zupełnie usunąć i zostawić życiu regulowanie tej sprawy. Wszelkie komisje kwalifikujące prawo do przerywania ciąży w poszczególnych wypadkach uważa za nieżyciowe i nierealne. Należy jedynie karać osoby niefachowe za fuszerkę, i przeciwdziałać potrzebie przerywania ciąży, a to w drodze opieki społecznej nad matką i dzieckiem. „Dom matki i dziecka”, uregulowanie alimentacji, dochodzenie ojcostwa, poprawa ogólnych warunków bytu etc. — oto środki.

Sama Komisja Kodyfikacyjna jest — zdaniem p. Krakowskiego — ciałem stojącym często poza życiem. Ci panowie obawiają się Ligi Narodów i mówią, że tylko tam sprawa może być rozstrzygnięta. Chcą, aby rzekoma depopulacja załatwiona była solidarnie jak demobilizacja. Toć nieraz Polska wyprzedzała inne narody w rozsądku, liberalizmie i tolerancji. Zresztą inaczej przedstawia się kwestia populacyjna w Polsce, a inaczej może się przedstawiać w innych krajach. Przy tym łatwiej jest w Polsce, która tworzy swoje ustawy, nie wprowadzić jakiegoś prawa, niż gdzie indziej je usunąć.

W podobnym duchu wypowiada się *dr Alfred Krieger z ogólnopolskiego Związku Kas Chorych*, kładąc zarazem nacisk na sprawę „regulacji urodzeń”, która, wedle jego doświadczenia, zupełnie nieznana jest większości robotników.

p. Wanda Grabińska, sędzia dla nieletnich,

uważa również, że nie można jednej ustawy wyosobnić z całokształtu Prawa; nie można chronić płodu, a nie troszczyć się o ciężarną matkę i o niemowlę po urodzeniu. Trzeba zharmonizować paragraf kodeksu karnego z całością ustawy, roztaczając nad matką jak najdalej idącą opiekę społeczną. Osobiście, przychyliła się do tezy Tow. Kryminologicznego: niekaralność do trzech miesięcy ciąży.

Dr Kłuszyński, b. naczelnny lekarz Kasy Chorych w Łodzi,

rad by przenieść punkt ciężkości na zapobieganie ciąży, na „regulację urodzeń”, w drodze uświadamiania matek i udzielania im pomocy w tej mierze. Zagadnienie to, które omawiał niedawno w druku, uważa za jedną z najpilniejszych kwestii dla naszego kraju: przeciwdziałać bezmyślnemu i nieograniczonemu płodzeniu dzieci. Co do samego przerywania ciąży, uważa, że paragrafy nic tu nie pomagają, a wiele szkodzą; co za tym idzie trzeba je po prostu usunąć.

Prof. wolnej wszechnicy, Dr Zofia Daszyńska-Golińska

przedstawiła w swoim dziele „Zagadnienia polityki populacyjnej” własne zapatrywania. Jest przede wszystkim zwolenniczką *regulacji urodzeń*, zapobiegania ciąży, którego przerywanie jest zawsze złem: i jako niszczenie życia, i jako możliwe skutki dla matki; złem, ale oczywiście nieraz złem koniecznym. Załatwianie tej skomplikowanej sprawy społecznej za pomocą kodeksu karnego uważa za niedorzeczność.

Dr Stefan Mozolowski, sekretarz naczelnej Izby Lekarskiej,

działał w tym duchu, aby Izba Lekarska, przedtem zachowująca konserwatywną abstynencję, zajęła się tą sprawą, która w istocie weszła już na porządek obrad Izby. Osobiście doktor Mozolowski jest zdania, że karzące paragrafy są bezsilne a szkodliwe.

Oto garść sądów, które powinny chyba każdemu dać do myślenia. Można by bardzo długo ciągnąć tę listę, ale nie dodałoby to już nic istotnego. Różnice tyczą się raczej metod, ale zgodność w zasadniczym poglądzie na rolę *paragrafu* jest uderzająca. Te głosy reprezentują wymagania życia, istotną *moralność*, polegającą na tym, aby nie było krzywd i niesprawiedliwości; zwolennicy karzących paragrafów przeciwstawiają im jedynie frazesy, w których rzekoma „etyka chrześcijańska” idzie pod rękę z zabobonami populacyjno-militarnymi; przede wszystkim jednak działają stare nawyki i niezdolność spojrzenia w oczy istotnym prawdom i nakazom życia.

W chwili gdy miałem oddać te głosy do druku, otrzymałem list od wieloletniego lekarza Kasy Chorych na prowincji. List ten wydaje mi się tak znamieny, że pozwolę sobie zamieścić zeń dłuższy ustęp:

...Walka z obłudą, panującą w omawianej dziedzinie, jest jednym z etapów walki z nową etyką seksualną. Walka ta zapowiada się na szereg lat i trudno przewidzieć, jak ustalą się jej prawa. Na razie możemy przewidzieć tylko, czego etyka ta zawierać nie będzie. Obce jej będzie kościelno-chrześcijańskie nastawienie do spraw płciowych, jako do czegoś grzesznego, zaledwie tolerowanego; pochlebco wyidealizowana, przez poetów opiewana „niewola kobieca”; podział na „żonę” i „kochankę”, różnica pomiędzy dzieckiem „ślubnym” i „nieślubnym”, tzw. „anorebia płciowa”.

W międzyczasie medycyna, oparta na zdobyczach nowoczesnej biologii seksualnej, rozwiąże w pierwszym rządzie zagadnienie normowania płodności i rozrodczości. Już w zeszłym stuleciu Bernard Shaw powiedział: „ograniczenie rozrodczości byłoby największym wynalazkiem XIX w.” Czego jednak nie udało się dokonać w w. XIX, to jest obecnie na drodze do urzeczywistnienia.

...Wszystko to jest muzyką choć niedalekiej, ale przyszłości. Na razie żyjemy w okresie tworzenia w Polsce nowego kodeksu karnego. Torturowana przez prawo i etykę obecną kobieta nie może się pocieszać tym, że następne pokolenie z tych kajdan się uwolni. Należy przeto donośnym głosem wołać o sprawiedliwość dla kobiety dzisiejszej.

Zdawałoby się, że w pierwszym rządzie powołani są do zabierania głosu w tej sprawie ci ludzie, którzy najbliżej i najczęściej stykają się z dolą i niedolą ludzką — lekarze. Dlaczego dzieje się inaczej, uzasadniał pan częściowo w jednym z artykułów, ale dało by się na ten temat jeszcze wiele rzeczy powiedzieć, od których żółć człeka zalewa. Na niewidzianego śmiem twierdzić, że ten przyjemniaczek, który radził owej nieszczęśliwej kobiecie, żeby nie spała z mężem, że właśnie on jest zawodowym poroniarzem i że tej samej kobiecie za 100 zł. poronienie by zrobił, a już sobie samemu na pewno nie narzuca wstrzemięźliwości *in puncto voluptatis*²⁴. Ja osobiście, jak jestem lekarzem, a więc od 22 lat, zdaję sobie sprawę z potworności obowiązującego prawa, ale dopiero gdy mnie losy od paru lat przerzuciły na teren działalności w Kasie Chorych Zagłębia Dąbrowskiego, gdy jako ginekolog zetknąłem się codziennie z 40 do 50 nieszczęśliwymi kobietami, gdy poczałem odwiedzać suteryny i poddasza, gdzie roi się od dzieci, a ciągle rodzą i rodzą się nowe, gdzie ojciec przy urodzeniu się pierwszego dziecka-córeczki potrafi powiedzieć: „będzie o jedną k...ę więcej”, gdy zaczęto mi

Kobieta

Kobieta „upadła”, Bieda

²⁴*in puncto voluptatis* (łac.) — w dziedzinie rozkoszy. [przypis edytorski]

przyprawiać małe dziewczynki zarażone tryprem przez rodziców i starsze rodzeństwo, z którymi śpią na wspólnych barłogach, gdy spotkałem się z takimi tragediami: podczas gdy matka pracuje na utrzymanie siedmiorga dzieci, z których dwoje jest kretynami, ojciec umyślowo chory zostaje zamknięty w pokoju, a nieraz leży przywiązany do łóżka, żeby dzieci nie zabił, i zostaje z tych pęt zwolniony, gdy żona wraca z roboty, po to, by ją po raz 8-my zapłodnić, i gdy kobieta ta na próżno błaga lekarzy o przerwanie ciąży; gdy przyszło mi nieraz dopomagać zrealizowaniu się „błogosławieństwa Bożego” w takich warunkach, że rodząca leżała na barłogu w tak małej norze, że ja ciągnąłem kleszcze, siedząc w sieni, a wreszcie — i to było i jest dla mnie najokropniejszym przeżyciem, gdy na każdym kroku spotkałem się z nielitościwym biciem dzieci — rocznych nieraz dzieci! — gdym spojrział w wystraszone na widok ojca z rzemieniem w ręku oczy dzieciaków — dosyć! — zrozumiałem, że prawo potrafi być nie tylko bezlitosne, potrafi być podłe...

Lekarz, Społecznik

Dziecko, Przemoc

...Nie mam zamiaru przytaczać argumentów w obronie Pańskiej tezy, uczynił to pan lepiej i bardziej przekonująco, niżbym ja to potrafił. Celem obecnego listu mego jest zwrócenie uwagi na inną bolączkę społeczną — na dzieci. Pragnąłbym, aby kochany nasz Boy, który tak subtelnie wyczuł tragedię wtłoczonej w jarzmo małżeństwa i macierzyństwa kobiety, otworzył swe serce krzywdzonej, paczonej, ogłupianej, maltretowanej dziewczynie i wykazał państwu i społeczeństwu na ich obowiązki względem młodziutkich obywateli przyszłej Polski. Dopóki tych obowiązków nie spełnią, waram im od zapłodnionej komórki jajowej!

Niechże teraz kto z czytelników powie: jak, wobec takich faktów, wyglądają baśnie ginekologów prawiących o „etyce chrześcijańskiej”, lub sędziów fantazjujących o polityce populacyjnej? Co do mnie, podzielałm zdanie mojego szanownego korespondenta, że jesteśmy w przededniu nowej epoki. Trzeba, by każdy czynił co w jego mocy, aby przyspieszyć jej nadejście.

ZAMKNIĘCIE BILANSU

Doszliśmy do końca rozważań, które zajmowały nas bodaj przez dwanaście niedziel. Czas długi na pozór, ale znikomo krótki w porównaniu z wiekami, przez które kwestia ta stała w martwym punkcie. W ciągu tych dwunastu niedziel zmieniło się wiele. Zmieniły się poglądy najjaśniejszej Komisji Kodyfikacyjnej, która przemówiła bardziej ludzkim głosem; pociągnąć jeszcze to czcigodne ciało za język, a gotowe powiedzieć coś zupełnie do rzeczy. Zmieniło się znacznie stanowisko tzw. opinii: ubyła jedna z tych wielu, wielu kwestii, „o których się nie mówi”; mówi się teraz o tym, i mówi wcale dużo. Ktoś opowiadał mi, jak w nader szanownym domu, przy kolacji, szesnastoletnie dziewczątko dowodziło swemu sąsiadowi, poważnemu panu w smokingu, praw kobiety do przerywania ciąży. To bardzo dobrze. I owszem, można o tym porozmawiać przy kolacji; ale mówi się i gdzie indziej: mówi się na umyślnych zebraniach, mówi się na łamach pism — przynajmniej niektórych — dyskutuje się jawnie tę tak doniosłą sprawę. Na razie uważam zatem rolę moją za spełnioną: o to mi głównie chodziło.

Mówię na razie: gdyż niewątpliwie trzeba będzie jeszcze nieraz do tego tematu powrócić. Nawet gdy chodzi o ustawę, czeka tę rzecz jeszcze wiele etapów. Jeszcze nie przeszła wszystkich filtrów Komisji Kodyfikacyjnej, nie przybrała w niej może ostatecznego kształtu: nie przeszła zwłaszcza przez debatę sejmową, gdzie kto wie jakie spotka ją przyjęcie. To wszystko wymaga jeszcze przygotowania. Bo główną rzeczą jest przewalczenie narowów²⁵ myślowych społeczeństwa, wszczęcie bardziej nowoczesnych i ludzkich kryteriów, zarówno w sprawie przerywania ciąży, jak zwłaszcza w sprawie jej *ograniczenia*, o które wołają u nas (po cichu) światli ekonomiści i lekarze, działacze społeczni i prawnicy. Tu trzeba jeszcze wiele pracy: kończąc tedy chwilowo te rozważania, pozostawiamy otworem naszym czytelnikom miejsce do dalszej wymiany myśli.

Parę jeszcze szczegółów chciałem potrącić. Mogło uderzyć kogoś, czemu, poruszywszy

Rosja

²⁵narów (tu daw.) — zły nawyk. [przypis edytorski]

tę sprawę i mówiąc o jej ukształtowaniu się w rozmaitych krajach, nie powołałem się przede wszystkim na reformy, jakie w tej mierze zaprowadziła sowiecka Rosja. Przyczyna jest prosta. Całokształt życia społecznego w dzisiejszej Rosji wspiera się na zasadach tak odmiennych od naszych i rozwija się w tak odrębnych warunkach, że przykład z niej zaczerpnięty mógłby budzić wątpliwości, czy to, co tam uznano za dobre, może się nadać gdzie indziej. Wołałem w potrzebie powołać się na małą Estonię niż na ogromną Rosję.

Stanowisko ustawodawstwa rosyjskiego w sprawie przerywania ciąży jest zresztą dość powszechnie znane. Oto jego najogólniejsze zasady, przytoczone przez nasz *Głos sądownictwa*:

Przerwanie ciąży, dokonane przed upływem trzech miesięcy trwania, w odpowiednich warunkach i przez specjalistę, karze nie podlega; w innych wypadkach może być wymierzona kara do pięciu lat więzienia.

Poronienie dokonywa²⁶ się bezpłatnie na podstawie decyzji komisji składającej się z przedstawicieli organizacji kobiecych i przedstawicieli władzy lekarskiej. W odleglejszych okolicach kraju decyzję może powziąć osobiście lekarz okręgowy.

Z tymi komisjami, które mają zwolenników i u nas, a których funkcjonowanie budzi u innych wiele wątpliwości, podobno i w Rosji jest kłopot. W praktyce, rzecz tak mało nadająca się do biurokratycznego traktowania, sprowadza się podobno do licznych formalności i „pieczętek”, tak iż wiele kobiet woli omijać te komisje i, mimo groźących kar, udać się po staremu do — akuszerki. Dlatego w ostatnim czasie zmodyfikowano ten przepis, wynikły głównie z niedostatecznej ilości łóżek szpitalnych, przyznając każdej kobiecie prawo do pomocy w szpitalach publicznych, z tą różnicą że, o ile nie może się wykazać ważnymi wskazaniami społecznymi, sama ponosi koszt łóżka i pobytu w szpitalu.

To w każdym razie jest pewne, że nowa ustawa rosyjska znakomicie wpłynęła na zmniejszenie procentu śmiertelności (a tym samym i schorzeń) w związku z poronieniami: gdy w r. 1922 na 1000 kobiet było 3,92 przypadków śmierci, w r. 1926 było ich tylko 1,64, czyli mniej niż połowa! Zestawienie procentowego stosunku śmiertelności poronień w Berlinie a w Petersburgu wykazuje śmiertelność kilkakrotnie wyższą w Berlinie: argument ten wygrywają też często w Niemczech przeciwnicy paragrafu 218. Etycyzm środkowoeuropejski może być znacznie okrutniejszy od etyzmu rosyjskiego!

To zdaje się wszystko, co miałem do uzupełnienia. A teraz, leżą mi jeszcze na sercu obowiązki wobec moich czytelników. Otrzymałem od nich mnóstwo listów: niektóre z nich zamieściłem w całości, niektóre cytowałem, innymi inspirowałem się tylko. Gdybym chciał przytaczać wszystkie, musiałbym żądać od mojej redakcji, aby mi oddała do rozporządzenia wszystkie swoje szpalty, co, zwłaszcza w okresie przesilenia rządowego, było niemożliwe. Ale zaręczam moim czytelnikom, że listy ich nie były stracone, i choć nie mam fizycznej możliwości na wszystkie odpowiedzieć, były one dla mnie nieraz bardzo cennym dokumentem, umocnieniem mnie w podjętej akcji, za co korespondentom moim bardzo serdecznie dziękuję. Będę miał zresztą jeszcze nie raz sposobność sięgnąć do tego archiwum.

Gdy mowa o korespondencji, jeszcze jedną sprawę — cokolwiek drażliwą — muszę tu załatwić. Otrzymałem kilkadziesiąt listów, ze wszystkich sfer, specjalnie zapytujących mnie o ów „śmieszny” środek, który zwierzyła mi pewna lekarka jako „domowy, tani i pewny”. Pytania te stawiały mnie w trudnym położeniu. Po pierwsze, nie mogłem przyjąć osobistej odpowiedzialności za ów środek i nie chciałem się, w razie zawodu, narazić na żale i pretensje, kto wie jak daleko idące; po wtóre, nie będąc, mimo mego dyplomu, zapisany obecnie w żadnej z Izb Lekarskich, nie mam prawa udzielać porad, taka zaś odpowiedź byłaby niewątpliwie — choć pośrednio — udzielaniem porady lekarskiej. Lojalność wobec moich byłych kolegów nie pozwalała mi na to. Odesłałem po prostu moich korespondentów wprost do sympatycznej lekarki, która mi udzieliła wiadomości o owym „śmieszny” środku przeciw zajściu w ciążę; ale dostawała tyle setek listów z zapytaniami, że była na mnie wściekła, tym bardziej że sięgnęło to na nią i inne przykrości. Wykreślałam więc jej nazwisko.

²⁶dokonywa — dziś: dokonuje. [przypis edytorski]

Zawsze ze szczególną pieczołowitością prowadzę rubrykę „Dary”. Nie przez interesowność, daję słowo; ale dlatego, że rubryka ta jest niejako termometrem wykazującym życzliwość i współudział moich czytelników. Tym razem otrzymałem dar tylko jeden, ale tak miły i ładnie podany, że starczy mi za wiele. Mianowicie, po felietonie „Błogosławieństwo czy przekleństwo”, przesłano mi bezimiennie śliczną staroświecką broszkę, wraz z następującym bilecikiem:

Kochany drogi panie Boyu, jak bardzo smutno i beznadziejnie byłoby żyć na świecie, gdyby pana nie było!!!!!!!

I dopisek:

Proszę się nie gniewać za „damski obiekcik”...

Gdzieżbym ja się gniewał, moja miła, nieznajoma kobietko! Przeciwnie, twój „damski obiekcik” stanie się dla mnie trwałą pamiątką tej na wskroś feministycznej kampanii, a nie mając innej drogi, najserdeczniej tu za niego, jak i za dobre słowa, dziękuję.

A co teraz?

Teraz... to co zawsze. Zbiorę tych kilkanaście felietonów, wydám je jako książeczkę, i — zacznę być wymyślany. Tak jak ciągle; „od zawsze”. Wymyślania towarzyszą całej mojej działalności pisarskiej. Słucham ich jak odległego szumu morza... Bo tak się składa, że, kiedy mi za coś wymyślają, ja najczęściej jestem już o sto mil od tego przedmiotu. Kiedy mi wymyślano za „rozwoły”, siedziałem po uszy w Mickiewiczu; kiedy mi wymyślano za Mickiewicza, ja pisałem o przerywaniu ciąży; kiedy mi będą wymyślali za przerywanie ciąży, będę ślezczał nad wydaniem listów Żmichowskiej, czy ja wiem zresztą nad czym... Skutek jest ten, że wszystkie te wyzwicka spływają mi się w jeden głos. I nie jest to bez głębszej filozofii. Bo przedmioty się zmieniają, ale istota rzeczy pozostaje jedna: wszystkie te moje niewinne kampanie, to tylko różne „odcinki” jednego i tego samego frontu. Literatura ma swoje „konsystorskie dziewice”, tak jak ciąża ma swoich „brązowników”. I doprawdy chwilami nie wiem, czy to pan Fleszyński pisze o Mickiewiczu, a pan Szpotański o poronieniach, czy odwrotnie. Mogliby się zamienić na tematy, bez szkody (i bez pożytku także) dla samej rzeczy. I o czymkolwiek będę pisał, typ ludzi o pewnej umysłowości (aby się wyrazić najuprzejmiej) zawsze będę miał przeciw sobie; i niech mnie Bóg broni od nadejścia chwili, w której miałbym ich za sobą!

Na razie tedy, żegnám was, moi czytelnicy: do zobaczenia, mam nadzieję, na innym odcinku tego samego frontu...

PRZYPISEK

Myślałem, że już będę mógł zakończyć moje nazbyt ginekologiczno-społeczne rozważania, kiedy dokument, nadesłany przez jednego z czytelników, każe mi je przedłużyć na chwilę. Dokument autentyczny, oryginalny, z pieczętką, a oto jego brzmienie:

Okólnik Nr 24.

W związku z trudnościami przeróbek i dostosowań starych mieszkań folwarcznych do obecnych wymagań władz, a między innymi żądania, by rodziny posiadające większą ilość dzieci dostały więcej izb, doradzamy WPanom wymówić posadę takim rodzinom i wręczyć konotatkę przed 1 stycznia 1930 roku.

Spis tych, co podawali do Komisji Rozjemczej, można przejrzeć w biurze Związku.

...dnia 18 grudnia 1929 r.

(pieczętka): Zarząd... oddziału Związku Ziemiaków.

W istocie brakowało moim artykułom tego dokumentu, on dopiero stawia kropkę nad i w całej sprawie! Zważcie te słowa urzędowego papieru: „*doradzamy WPanom wymówić posadę takim rodzinom*”... To nie jakaś przygodna pani Dulcka, która wyrzuca na bruk służącą w ciąży oburzona niemoralnością tego stanu; tu chodzi z jednej strony o „prawo” i legalne rodziny, a z drugiej o urzędowo, planowo działającą organizację. Ponieważ masoni (bo to muszą być z pewnością masoni) stawiają dzikie żądania, aby ludzie

Okrucieństwo, Pozory,
Rodzina

mogli mieszkać w przybliżeniu bodaj jak ludzie (wedle informacji, jakie uzyskałem u pp. Ulanowskiego i Gnoińskiego, żądania te są bardzo skromne), przeto stosuje się środki samoobrony: wymawia się pracę rodzinom o większej ilości dzieci... I to nie jakiś pojedynczy drab tak czyni: to uchwała Zarządu, powzięta zapewne po dojrzałej rozprawie, po dyskusji...

I kto tak postępuje? Podpory religii, tradycji, cnót obywatelskich, ci właśnie, którzy na ustach mają wciąż ojczyznę, politykę populacyjną i etykę chrześcijańską. Nie chodzi mi tu specjalnie o ziemian; zapewne nie są lepsi ani gorsi od innych; chodzi o stwierdzenie obłudy społeczeństwa w stosunku do tych zagadnień. I zważmy, jaka jest dalsza kolej. Wyrzucają w krótkiej drodze rodzinę z kilkorgiem dzieci, która zostaje bez pracy. Przypuśćmy, że matka jest w ciąży; znalazłszy się w tej rozpaczliwej sytuacji, idzie, z narażeniem własnego życia, do „baby” i przerywa ciążę: za który to zbrodniczy czyn prawo skazuje ją na pięć lat więzienia. Co się przez te jej lata więzienia stanie z kilkorgiem dzieci pozbawionych matki, o to prawo nie pyta. Główna jego troska, to — moralność. I ci, którzy bronią tego stanu rzeczy, też utrzymują, że bronią moralności! Ale, skoro to jest wasza moralność, niechże was gęś kopnie, pozwólcie mi nadal zostać niemoralnym...

A teraz drugi dokument. Dzienniki donoszą, bez komentarza:

Wyrodna matka skazana na śmierć.

Tarnów, 4. czerwca 1930. Przed Trybunałem sądu przysięgłych w Tarnowie odbyła się rozprawa przeciwko Józefie Furdynównie, służącej spod Mielca, która zabiła swe 5-miesięczne dziecko, dusząc je ziemią, włożoną do ust.

Sąd wydał wyrok, skazujący Furdynównę na karę śmierci przez powieszenie.

Dziecko uduszone, matka na szubienicy — niech żyje polityka populacyjna!
Piekło — piekło kobiet...

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/pieklo-kobiet>

Tekst opracowany na podstawie: Tadeusz Boy-Żeleński, *Piekło kobiet*, Warszawa 1930

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów BN.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Dorota Kowalska, Marta Niedziałkowska, Paulina Rzymanek.

ISBN 978-83-288-0100-4

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).